EPOKA

ROK VI. Warszawa, 5 czerwca 1939 r. ROK VI. Nr 16 (155)

OBLICZE KRAJU

Mimo faktycznego uprzywilejowania jednej partii wybory samorządowe przynajmniej do pewnego stopnia odzwierciedliły nastroje społeczeństwa, ukazały zróżnicowanie polityczne kraju. Toteż — z wszystkimi zastrzeżeniami — można widzieć w nich pewien obraz „rzeczywistej rzeczywistości" polskiej — jakże różny od rzeczywistości formalnej, oficjalnej, streszczającej się w monopolu politycznym jednego, bynajmniej nie najliczniejszego i nie najpopularniejszego, stronnictwa.

Wybory wykazały, że w społeczeństwie istnieją i zyskują na siłach samodzielne prądy ideowe, zrodzone z potrzeb, dążeń i ideałów wielkich odłamów narodu, prądy reprezentowane przez niezależne, masowe stronnictwa polityczne, które — jakkolwiek skupiają pod swymi sztandarami przytłaczającą większość obywateli — odsunięte są od decydowania i kontroli w najistotniejszych zagadnieniach państwowych na rzecz Ozonu, obdarzonego niepisanym wprawdzie, nie mniej jednak rzeczywistym monopolem politycznym. Stronnictwa polityczne wyrażają rzeczywistą opinię społeczeństwa, odzwierciedlają główne prądy i kierunki społeczno-ideowe, nurtujące najszersze masy ludności.

Prawdy tej nie zasłonią naiwne sztuczki statystyczne prasy ozonowej, która wynik wyborów samorządowych usiłuje przedstawić jako... wielki sukces swego stronnictwa, jako triumf idei monopartyjnej i klęskę tzw. partyjnictwa! Żonglerka liczbami nie wpłynie przecież na rzeczywisty układ stosunków politycznych w kraju. Nie zmniejszy ani o cal trwającej od wielu już lat rozpiętości między nastrojami społeczeństwa a oficjalnym życiem politycznym. Może ją tylko pogłębić.

Ale stanowisko, które prasa dyrygowana zajęła po wyborach, świadczy, że Ozon nie chce wyciągnąć nieuchronnych konsekwencyj z nauki, otrzymanej od wyborców. Ozon nie chce się wyrzec monopolu politycznego. Ozon wbrew ostatnim doświadczeniom krajowym i zagranicznym sprzeciwia się demokratyzacji naszego życia publicznego, oparciu go na zasadach, zgodnych z wolą społeczeństwa. Ozon nie chce uznać tej najpilniejszej konieczności państwowej, której urzeczywistnienie jest naczelnym postulatem chwili obecnej, wymagającej patriotycznego zjednoczenia wszystkich obywateli na zasadach całkowitej równości praw i obowiązków, z wyłączeniem wszelkiego przywileju i monopolu dla którejkolwiek grupy społecznej czy politycznej.

I jeżeli stronnictwa demokratyczne bez przerwy podkreślają tę konieczność, czynią to, rzecz jasna, nie w obawie o swoje wpływy, nie ze strachu, żeby im Ozon na skutek swego uprzywilejowanego stanowiska nie odebrał zwolenników! Tego się w Polsce nikt nie boi, a już najmniej w obozie demokratycznym. Jako grupa uprzywilejowana jest Ozon konkurencją conajwyżej dla Stronnictwa Narodowego, od którego nie różni się ideologicznie ani społecznie. Natomiast dla PPS czy Stronnictwa Ludowego nie przedstawia Ozon żadnego „niebezpieczeństwa". Stronnictwa te żyją i krzepną liczebnie i jakościowo i naprawdę nie mają powodu do obaw, że im Ozon odbierze zwolenników...

Podkreślając konieczność demokratyzacji naszego życia politycznego kieruje się obóz demokratyczny nie jakimś partyjnym wyrachowaniem lecz prawdziwą troską o dobro Rzeczypospolitej, które dziś bardziej niż kiedykolwiek przedtem wymaga obalenia sztucznych, dzielących społeczeństwo przegród, zbudowanych na monopartyjnym przywileju jednego stronnictwa.

Dekada polityczna

Berlin kontratakuje. Ubiegła dekada stała pod znakiem jednego, najważniejszego faktu: mimo rozpaczliwego oporu sympatyków hitleryzmu wewnątrz gabinetu brytyjskiego rząd Wielkiej Brytanii zdecydował się ostatecznie na „sojusz rosyjski". Mimo prawdopodobnych jeszcze wahań i trudności, ostateczny pozytywny rezultat pertraktacji pomiędzy Londynem i Paryżem a Moskwą nie ulega chyba wątpliwości. Pierścień, zamykający ujścia napastniczym zapędom Berlina, zamyka się.

Ale nie znaczy to bynajmniej, by te zapędy zostały już ostatecznie poskromione. Wręcz przeciwnie, Berlin, czując wznoszący się dokoła niego wał ochronny, czyni rozpaczliwe wprost wysiłki, by go przełamać jeszcze teraz, póki czas, póki beton nie okrzepł, póki jeszcze widnieją tu i ówdzie luki. Dlatego też dekada obecna stała przede wszystkim pod znakiem gorączkowej kontrofensywy Berlina, podejmowanej na wszystkich dostępnych mu odcinkach. A jednocześnie pod znakiem umacniania pozycji berlińskich na wypadek wojny, gdyby panu z Berchtesgaden nie pozostało już żadne inne wyjście.

Poświęcimy, w dalszym ciągu, sporo miejsca tym wysiłkom Berlina. Ostrzegamy jednak, dla bezpieczeństwa, przed złudzeniami optycznymi. Zasięg i liczba robótek berlińskich nie decyduje bynajmniej o sile Berlina, z którą jest źle. Polegała ona dotąd przede wszystkim na braku współpracy mocarstw i państw nastrojonych pokojowo. Dzisiaj ta współpraca, chociaż z trudnościami, ale wzmacnia się coraz bardziej. Blok pokojowy jest mocniejszy od bloku totalnego.

Pakt sowiecki. Bezpośrednio po rozmowach Halifaxa i Bonneta z Majskim, odbytych w Genewie, a jeszcze bardziej po posiedzeniu gabinetu brytyjskiego, na którym lord Halifax składał sprawozdanie z tych rozmów — na szpaltach całej niemal prasy angielskiej i francuskiej zapanował gwałtowny optymizm na temat „paktu sowieckiego". Korespondenci dyplomatyczni twierdzili zgodnym chórem, że Anglia zaakceptowała propozycje sowieckie, że sprawa zawarcia porozumienia trzech mocarstw, z pozostawieniem Polsce swobody przystąpienia jako czwarty partner bloku, jest już zdecydowana.

Obecnie — w świetle mowy Mołotowa — okazuje się, że informacje te były niezupełnie ścisłe. Istotnie Anglia, ściślej mówiąc rząd Chamberlaina, zgodziła się na wiele: na pakt bezpośredni angielsko - sowiecki, na udzielenie gwarancji europejskich granic Sowietów na wypadek bezpośredniej agresji niemieckiej, na dosyć daleko idące wspólne gwarancje. Ale — Sir Samuel Hoare, Sir Simon i inni hitlerofile gabinetu potrafili do projektu przeforsować i swoje poprawki. Dotyczą one przede wszystkim, dosyć niejasno postawionej w propozycjach, sprawy automatycznego paktu i sprawy państw bałtyckich. Chcieliby pozostawić furtkę dla starej, monachijskiej koncepcji „puszczenia Hitlera na Stalina". To wystarcza, by zrazić Kreml, nieufny zawsze, zwłaszcza wobec konserwatystów angielskich. Odpowiedź Mołotowa brzmi: owszem, gotowi jesteśmy do współpracy, ale tylko na naszych warunkach. Pertraktacje toczą się więc nadal.

Mimo wszystko — jesteśmy zdania, że zostaną one, być może po jeszcze kilku etapach zwłoki, zakończone pomyślnie. Wymaga bowiem tego interes własny Anglii i Francji, wymagają nastroje, wyjątkowo jednolitej w tej sprawie, opinii publicznej Wielkiej Brytanii. Wymaga również — interes własny Sowietów. Pierwsze echa mowy Mołotowa w Londynie i Paryżu były pomyślne. I Moskwa liczy się, zdaje się z rychłą finalizacją porozumienia. Świadczy o tym fakt, że rozpoczęła się już tam wielka kampania zgromadzeniowa, poświęcona popularyzacji hasła przeciwstawienia się, wespół ze wszystkimi państwami pokojowymi, wszelkiej nowej agresji osi — świadczy, że i rząd sowiecki liczy się już z pomyślnym rezultatem długotrwałych pertraktacji.

Oczywiście, sfinalizowanie porozumienia ma duże znaczenie dla sprawy pokoju i dla Polski. Nie jesteśmy tak optymistyczni, jak konserwatywny, londyński „Observer", głoszący, że sam fakt podpisania tego porozumienia stanowi już ostateczne zapewnienie pokoju światowego. Bliższym rzeczywistości wydaje się nam pogląd nie wymienionego z nazwiska znawcy Trzeciej Rzeszy, cytowanego przez Leona Bluma, który oświadcza, że wskutek porozumienia niemieckie przygotowania do napadu na Polskę uległy poważnemu zahamowaniu. Nie można — mówi on — twierdzić, by taki napad był już zupełnie niemożliwy, ale stał się on, w każdym razie, trudniejszy i mniej prawdopodobny.

Że tak jest w rzeczywistości, o tym świadczy najlepiej reakcja giełd międzynarodowych. Zareagowały one na wiadomość o finalizacji paktu gwałtowną zwyżką. Organy giełdowe mówią o „bombie Stalina". Różne paradoksy bywają na świecie!

Recydywy monachijskie. Popełnilibyśmy jednak fatalny błąd, przypuszczając, że nawet jeśli wszystkie końcowe trudności zostaną przezwyciężone, nawet jeśli gotowość Anglii, Francji i Sowietów do wspólnego zbrojnego odparcia każdej próby gwałtu i agresji zostanie uroczyście proklamowana w formie paktu trzech mocarstw, duch monachizmu szcześnie raz na zawsze, a tendencja do ugody z Berlinem — ugody, która mogła by się dokonać tylko kosztem państw trzecich — może być uważana za ostatecznie pogrzebaną. Nie, kliki finansowe, które doprowadziły do zguby Czechosłowację, nie zaprzestają roboty i nie zaprzestaną jej do końca. Czujność demokracji, czujność narodów, zagrożonych przez pochód brunatnego imperializmu, nie może ani na chwilę ulec osłabieniu.

Monachijczycy działają. Działają w opinii publicznej, działają za kulisami wielkiej finansjery, działają w gabinetach ministerialnych. Zacytujemy kilka przejawów ich działalności.

Bank Rozrachunków Międzynarodowych, w którym zasiadają przedstawiciele Banku Anglii i Banku Francji, postanowił, bez sprzeciwu z ich strony, wydać Niemcom złoto, zdeponowane w tym banku przez Bank Narodowy Czechosłowacji. Bank Anglii, w którego przechowaniu znajduje się to złoto, gotuje się już do wydania go Rzeszy. Rząd angielski, który pierwotnie dementował informacje prasowe na ten temat — pan Chamberlain nazwał je w parlamencie „kaczką

dziennikarską" — zmuszony został do przyznania, że wprowadził w błąd parlament i tłumaczy się teraz, że przepisy prawne, jakim podlega Bank Rozrachunków Międzynarodowych, nie pozwalają mu na obłożenie sekwestrem tego złota. Co gorsza, okazuje się, że w Londynie toczą się pertraktacje z Niemcami na temat reszty aktywów czeskich w banku Anglii i na temat ewentualnego oddania ich Rzeszy, co oznaczałoby uznanie — de facto, a może i de iure — podboju Czechosłowacji. Cała ta sprawa pachnie wybitnie jakąś nową monachijską robótką.

Na posiedzeniu Ligi Narodów przedstawiciele mocarstw zachodnich postanowili, przeciwko głosom Sowietów, Chin i Nowej Zelandii, przejść do porządku dziennego nad protestem przeciw aneksji Albanii, odrzucili raz jeszcze wszelką pomoc dla Chin, nie dopuścili do odczytania listu Benesza z protestem przeciw zaborowi Czech. I to — jakże przypomina stare czasy monachijskiego „apeasement".

Analogicznego pociągnięcia dokonano w zupełnej ciszy w Afryce: zamknięta została hermetycznie granica anglo-egipskiego Sudanu, przez którą dotąd zaopatrywali się w broń powstańcy abisyńscy. Nie dość na tym: by ułatwić Włochom walkę z powstańcami, Francja zgodziła się na bezcłowy i swobodny przewóz broni i amunicji na linii kolejowej Dżibuti — Addis Abeba. Dotąd transporty broni szły szlakami automobilowymi, gdzie były narażone na napady oddziałów powstańczych.

Odżyła znowu propaganda monachijska w prasie. Osławiony p. Déat znowu pojawił się na szpaltach „L'Oeuvre", wraz z radykałem p. Elbelem i p. Clerc'iem. Nie wolno mu już wprawdzie poruszać spraw polskich, ale za to straszy on kapitalistów wywłaszczeniem fabryk w czasie wojny, podczas gdy jego kompani Elbel i Clerc malują poczciwemu francuskiemu mieszczuchowi złote perspektywy „europejskiej współpracy gospodarczej" z... mocarstwami totalnymi. Zaczyna znowu ruszać się lord Rothermere, serdeczny przyjaciel Hitlera, podczas gdy cenzura filmowa brytyjska wstrzymuje, pod śmiesznymi pretekstami, film francuski, poświęcony apoteozie „Entente Cordiale"... W Ameryce z jaskrawymi enuncjacjami hitlerofilskimi wystąpili wybitni „działacze gospodarczy", pp. Howard i Meeney. Mało komu z pośród tych, którzy czytali ich wywody, przyszło na myśl, że są to dyrektorzy „General Motors", posiadającej w Niemczech olbrzymie zakłady „Opel" i że to nie tyle był głos ich, co głos setek milionów dolarów, zagrożonych w razie upadku Hitlera.

Na zakończenie wiadomość natury towarzyskiej: wyszła za mąż Lady Margaret Geddes, córka prezesa Rio Tinto Company (olbrzymie kopalnie w Hiszpanii), jednego z najpotężniejszych ludzi City, członka rady przemysłowej przy brytyjskim ministerstwie obrony. Wyszła za mąż za ks. von Hessen, brata ks. Filipa Heskiego, Obersturmbannführera S. S. i zięcia króla włoskiego. P. von Ribbentrop napewno serdecznie ucieszył się tym mariażem...

Wszystkie te fakty każą nam zachować i nadal ostrożność. Kto wie, może zasługują na wiarę, dementowane uporczywie, pogłoski, jakoby Mr. Chamberlain miał zamiar, bezpośrednio po podpisaniu paktu z Sowietami, spróbować raz jeszcze „przyprzeć Niemcy do muru", czyli, mówiąc po prostu, raz jeszcze zabawić się w „apeasement".

Trudności monachijczyków.

Zachowujemy jednak pełny optymizm co do perspektyw „nowego Monachium". Nie uda się ono nie tylko dlatego, że żądania dyktatorów byłyby tym razem zbyt wygórowane, o wiele bardziej wygórowane niż w Monachium 1938 r., ale także — i nawet przede wszystkim — dlatego, że Mr. Chamberlain nie mógłby już dzisiaj pójść na ustępstwa o wiele mniejsze od tych, na jakie poszedł w Monachium.

Świadczy o tym najlepiej słynna już sprawa „złota czeskiego", wydanego Trzeciej Rzeszy przez Bank Rozrachunków Międzynarodowych, za zgodą p. Montague Normana. Zdawałoby się, że to drobiazg i, nadomiar dobrze obwarowany prawniczo. A tymczasem debaty na ten temat w parlamencie trwają już od tygodnia i nie widać, by się miały rychło skończyć. Sir Simon poci się i kręci, jak może. Przyrzeka nawet, że spróbuje zatrzymać jeszcze to złoto w Anglii. Konserwatywni posłowie krytykują do spółki z posłami opozycyjnymi. Ton „Daily Telegraph" czy „Observera" nie różni się niczym od tonu „News Chronicle" czy „Daily Herald".

Ilustruje to najlepiej słuszność naszego poprzedniego twierdzenia, że Chamberlain przechodząc na pozycje „oporu", stworzył — wbrew — własnej woli i własnym intencjom — fakty dokonane, utrudniające mu coraz bardziej nawrót do Monachium. Chciał się, być może, tylko „przystosować", tylko przetrwać, by móc potem powrócić do swego, ale jego własne słowa, deklaracje i zobowiązania utrudniają mu ten nawrót. Monachijczycy w rządzie brytyjskim, mogą sprawić jeszcze sporo szkód, ale — jeśli tylko antymonachijska opozycja w W. Brytanii nie popełni wielkich błędów, a państwa bezpośrednio zagrożone nie zrezygnują ze swego zdecydowanego stanowiska — nie zdoła to już zmienić polityki W. Brytanii.

Obecnie w każdym razie londyńska aura nie jest przychylna dla Monachium. Świadczą o tym i wyniki wyborów uzupełniających do parlamentu. Na cztery okręgi, w których odbyło się głosowanie, dwa przeszły z rąk konserwy w ręce labourzystów. W dwóch pozostałych większość konserwatywna stopniała gwałtownie. P. Chamberlain nie może więc sobie, niezależnie od własnej woli, pozwolić na jakieś zbyt daleko idące monachijskie „ekstratury".

Nie jest zadaniem Polski „karanie" Hitlera za ujarzmienie narodu niemieckiego, ani wyzwalanie Niemiec spod jarzma faszyzmu. Ustrój wewnętrzny Rzeszy Niemieckiej, to wyłącznie sprawa jej obywateli, których Polska nie może wyręczać w walce o wolność.

Z drugiej strony nie jest też zadaniem Polski karanie całego narodu niemieckiego za winy hitleryzmu wobec pokoju i wolności, ani za jego zaborczą politykę wobec naszego państwa.

Zadanie Polski jest tylko jedno: obrona własna przed zakusami imperializmu niemieckiego na naszą niepodległość, na nasze ziemie, na nasze prawa. Z zadaniem tym wiąże się, rzecz prosta, zadanie wypełnienia zobowiązań wobec naszych sojuszników.

W dekadzie sprawozdawczej odbyły się kongresy francuskich socjalistów i brytyjskiej Labour Party. Stwierdźmy, że, w najważniejszej dla nas, sprawie polityki zagranicznej, oba kongresy stanęły na gruncie „polityki oporu". Gorzej wypadł kongres francuskiej Unii Socjalistyczno - Republikańskiej, gdzie, niestety, p. Déat znalazł wdzięczne pole do harców.

Jeszcze o sojuszu włosko-niemieckim. Monachijczycy Zachodu, to tylko siły pomocnicze. Atak berliński musi opierać się przede wszystkim na wojskach liniowych. Pierwszym, najważniejszym oddziałem tych wojsk liniowych Berlina są faszystowskie Włochy. Ogłoszony tekst sojuszu włosko - niemieckiego przyniósł więcej, niż oczekiwali nawet pesymiści: jest to wyraźny sojusz wojenny, o wyraźnie napastniczym charakterze. Czymże bowiem innym jeśli nie zapowiedzią agresji jest taki chociażby ustęp traktatu: „Naród niemiecki i włoski są zdecydowane i w przyszłości występować ramię w ramię i **wspólnymi siłami**, by **zabezpieczyć swą przestrzeń życiową**". Wiadomo dobrze, co rozumieją Włochy i Niemcy pod „przestrzenią życiową". Znalazły się wszak w tej „przestrzeni" Czechy i Słowacja, Abisynia i Albania. Ponoć zresztą istnieje dokładne rozgraniczenie obu „przestrzeni życiowych", zawarte w specjalnym tajnym protokule. Bałtyk należy tu oczywiście do przestrzeni życiowej Rzeszy. Niektóre reakcyjne pisma polskie próbowały, z zagadkowych przyczyn, w obliczu paktu włosko-niemieckiego, tłumaczyć opinii polskiej, że pakt ten oznacza pewne okiełznanie antypolskiej akcji Rzeszy przez „polonofilizm" Włoch. Może ci panowie wyjaśnią nam teraz dlaczego po podpisaniu paktu prasa berlińska bynajmniej nie zmieniła tonu wobec Polski, a natomiast ostatnie „Relazioni Internazionali", organ p. min. Ciano piszą dosłownie: „Powrót niemieckiego miasta Gdańska na łono ojczyzny oznaczać będzie zakończenie dzieła rekonstrukcji i zjednoczenia Niemiec". Nawet organy neutralne, raczej sympatyzujące z faszyzmem, jak np. szwajcarska „Neue Züricher Zeitung", stwierdzają wyraźnie, że nie ma co liczyć na hamujące wpływy faszyzmu włoskiego, że w sprawach polityki wschodniej Mussolini pójdzie za Hitlerem a nie odwrotnie.

Zresztą, organ rodziny p. Ciano poinformował nas, że pretensje niemieckie nie ograniczają się do Gdańska i autostrady. „Jadłospis" panów z Wilhelmstrasse jest wcale pokaźny: kolej Śląsk — Gdynia (więc chyba razem ze Śląskiem i Gdynią?), Zaolzie, „Galicja". Tylko znowu pytanie: dlaczego gazety polskie, które teraz z tak słusznym oburzeniem przedrukowały wywody „Telegrafo" nie zastanowiły się, jak rozumieć fakt, że p. Ciano, wielki „przyjaciel Polski", który wiedział już o tym niemieckim „menu" (powstało ono jeszcze w jesieni!) nie uznał za stosowne napomknąć o tym podczas swej warszawskiej wizyty?

Rola generała Franco. Przechodzimy do drugiego ulubieńca naszej reakcji: gen. Franco. Nareszcie, po defiladzie madryckiej wracają do domu „ochotnicy" włosko-niemieccy. Wracają, jak to było do przewidzenia tylko częściowo — pozostają w Hiszpanii specjaliści techniczni, instruktorzy, „ochotnicy cywilni" (alias agenci Gestapo i Ovry), słowem sporo. Ponadto — pozostaje, wbrew paktowi włosko-angielskiemu, cała niemal broń, ponoć „zakupiona" (za co?) przez gen. Franco. Zaznaczmy, tak na boku, że Włosi i Niemcy przyznają się teraz jawnie i cynicznie do interwencji w Hiszpanii. „Ochotnicy" włoscy i niemieccy będą przyjęci uroczyście przez władze hitlerowskie i faszystowskie: niemiecki „Legion Kondor" nawet ponoć osobiście przez Hitlera. A przecież — szczegół ciekawy dla amatorów jakichś nowych paktów z Hitlerem — Rzesza nie tylko zobowiązała się do zakazania swym obywatelom udziału w wojnie domowej hiszpańskiej, ale nawet wydała, w „wykonaniu" tego zobowiązania, specjalną ustawę z dnia 18 lutego 1937 r., grożącą więzieniem każdemu uczestnikowi w tej wojnie. Gen. Richthofen, komendant „Legionu Kondora" jakoś nie boi się więzienia...

Ale mniejsza o to. Ważniejszym jest oblicze „nowej Hiszpanii". Wbrew nadziejom reakcjonistów angielsko-francuskich jest ono wyraźnie niemiecko - włoskie. Z rządu Franco ustąpił hr. Rodriguez, mąż zaufania monarchistów, gen. Jordana, drugi ich przedstawiciel, jest na wylocie. Pozycje kapitału brytyjskiego i francuskiego w Hiszpanii padają: zapasy miedzi Rio Tinto zostały obłożone sekwestrem i pojadą do Niemiec. Tak samo ulegnie, zdaje się, „nacjonalizacji", czyli, mówiąc poprostu, przejęciu przez niemieckich techników, należąca do kapitału francuskiego kolej północna hiszpańska. Monopol górniczy w Marokko hiszpańskim otrzymała „hiszpańska" firma Carranza y Bernhardt, ekspozytura niemieckiego koncernu Mannesmanna, od którego pewne nici powiązań personalnych prowadzą do szefa prasowego Rzeszy, dra Dietricha.. Polityka idzie za kieszenią. W mowie „defiladowej" gen. Franco znalazło się sporo szpilek pod adresem Zachodu i mnóstwo ukłonów pod adresem berlinternowskich protektorów. „Razem walczyliśmy, pozostaniemy razem i po zwycięstwie" — oświadczyło radio madryckie w dniu defilady. Serdeczne depesze wymienione ostatnio pomiędzy gen. Franco a Hitlerem i Mussolinim, zostały uzupełnione wysłaniem do Niemiec misji wojskowej, złożonej z czołowych generałów rebelii (m. in. Aranda, Yague, Moscardo) a do Włoch — przyszłego premiera Hiszpanii, szwagra gen. Franco, p. Serrano Suner.

Główny ogień koncentruje „nowa Hiszpania" na Marokko Francuskim i Gibraltarze. I tu i tam budowane są gorączkowo fortyfikacje, koncentrowane wojska, rozwijana szeroka propaganda. Zdaje się jednak, że sztab francuski, mądrzejszy pod tym względem od dyplomatów p. Bonnet, nie da się zaskoczyć. W każdym razie szeroki pas, graniczący z Marokkiem Hiszpańskim został ogłoszony za strefę wojskową, w której wprowadzono szereg zaostrzeń i przeprowadza się roboty fortyfikacyjne.

Coprawda, są ludzie niepoprawni, którzy wciąż jeszcze mówią o „niezależności" gen. Franco. Należy do nich, m. in., „Warszawski Dziennik Narodowy". Radzimy tym panom, by tak, przy sposobności, zastanowili się chociażby nad oświadczeniem głównodowodzącego lotnictwem hiszpańskim, gen. Kindelan: „Gdyby **kiedykolwiek**, przeciw **komukolwiek** lotnictwo włoskie lub **niemieckie** znalazło się w walce, to lotnicy hiszpańscy, gdyby nawet, mimo swych

najlepszych chęci, nie mogli odrazu przyjść mu z **realną pomocą,** będą zawsze całym sercem po jego stronie". Możeby tak urządzić w Warszawie zbiórkę na złoty ryngraf dla „narodowego" gen. Kindelan?

Robótki naddunajskie. Inny, gorączkowo przez Berlin obrabiany teren, to państwa naddunajskie i bałkańskie.

Przykład Jugosławii najlepiej świadczy, jak trudną i skomplikowaną jest sytuacja wszędzie tam, gdzie zachodzi sprzeczność pomiędzy rzeczywistym, głębokim interesem kraju i narodu a interesem aktualnie panującego reżymu, jak w podobnych wypadkach nie wolno uważać za „samozrozumiałe" nawet najbardziej pozornie niezbędnych reakcji. Zachodzi wtedy paradoksalna dwoistość tendencji: jeśli z punktu widzenia obrony kraju samozrozumiałą staje się obrona, opór, mobilizacja, z punktu widzenia ratowania reżymu samozrozumiałym, jedynym wyjściem jest, wręcz przeciwnie, kapitulacja, demobilizacja, skrępowanie własnego społeczeństwa, odwrócenie jego uwagi od rzeczy istotnych. Polityka ks. regenta Pawła jest, niewątpliwie, samobójczą dla Jugosławii. Ale jest jedynie możliwa, jeśli chodzi o uratowanie rządów kamaryli dworskiej i kliki panującej w Belgradzie, skupionej przy żonie ks. regenta, pochodzącej z domu Romanowych.

Na Belgradzie w tej chwili koncentruje się nacisk osi. Uparte pogłoski twierdzą, że oś zamierza podzielić się Jugosławią, że Włochy mają wziąć wybrzeże adriatyckie, Węgry Banat, a Rzesza — resztę. We Wiedniu siedzi, hojnie zaopatrzony w pieniądze, morderca króla Aleksandra, Ante Pawelicz. Włochy i Niemcy hojnymi subwencjami ożywiają, skierowany przeciw Jugosławii, rewizjonizm węgierski i bułgarski, a Włosi obsadzają Albanię, stwarzając sobie bazę do ataku na jugosłowiańską dziś Macedonię. Cóż prostszego, jak wniosek, że Jugosławia powinna przyłączyć się do bloku anty-agresyjnego, do bloku pokojowego, że powinna przede wszystkim sparaliżować działanie osi, doprowadzając do wewnętrznej zgody pomiędzy Serbami a Chorwatami. Tymczasem dzieje się wręcz odwrotnie: pertraktacje rządu Cwetkowicza z demokratyczną większością chorwacką, kierowaną przez Maczka zostały zerwane, ks. Paweł jeździ do Rzymu i Berlina, dyplomacja jugosłowiańska intryguje w Rumunii i Turcji przeciw blokowi pokojowemu, przedstawiciel Jugosławii w Lidze Narodów, wysługując się Mussoliniemu, stara się uniemożliwić odczytanie protestu króla Zogu przeciw zaborowi Albanii. Narazie — interes reżymu przeważa nad interesem kraju, a zbrojna siła jego pachołków nad wolą narodu.

Prasa niemiecka z akcją Jugosławii wiąże bardzo wielkie nadzieje. Liczy ona, że uda się rozbić ententę bałkańską, usunąć z niej Tucję i zamienić ją, po dołączeniu Bułgarii, w grupę wasalów Berlina.

Do takiej ententy miałyby przystąpić i Węgry, gdzie w tej chwili wre gorączkowa akcja. „Likwidacja" klasowego ruchu zawodowego odbywa się przy udziale poselstwa niemieckiego. „Wybory", urządzone na podstawie „nowej ordynacji wyborczej" dały wynik zupełnie zadawalający dla Hitlera. Rząd węgierski nie przestaje kłaniać się Hitlerowi. Ostatnio np. p. min. Csaki oświadczył w Szopronie co następuje: „Pomiędzy Niemcami i Węgrami nigdy nie byłoby tak przyjaznych stosunków, gdyby nie to, że Adolfowi Hitlerowi udało się doprowadzić do zwycięstwa narodowego socjalizmu. Postępowanie Niemiec w Czechach unieszkodliwiło źródło międzynarodowego niebezpieczeństwa i było przy tym usprawiedliwione zarówno gospodarczo, jak historycznie".

Niema co, udał się nam ten „bratanek"! A Hitlerowi jeszcze lepiej.

Uwaga na Zakarpacie! Mało byśmy martwili się tym kolejnym rozczarowaniem naszych totalistów i faszystofilów, gdyby nie okoliczność, że od kilku miesięcy posiadamy z tym „bratankiem" spory kawał wspólnej granicy, tym drażliwszy, że zamieszkały, po obu stronach granicy, przez ludność ukraińską. Zbliżenie „bratanka" do Hitlera może uczynić znowu aktualnym problem Zakarpacia, pogrzebany, jak sądziło wielu, z upadkiem rządu Wołoszyna. Prasa ukraińska podaje sporo plotek na ten temat.

Korespondent berliński „Diła", p. Roman Golian, który zresztą, w epoce wołoszynowskiej przebywał w Pradze i był głównym heroldem prasowym rządu Wołoszyna, twierdzi, że Rzesza naciska na Węgry, by przyznały Zakarpaciu prawo do tych samych form ustrojowych, z których korzystało ono w po-beneszowskiej Czechosłowacji. Ponoć niewątpliwym jest wprowadzenie autonomii dla Zakarpacia i zezwolenie na powrót całej „emigracji ukraińskiej" do tego kraju. Ma być nawet zwołany ponownie wołoszynowski sejm karpato-ukraiński, pod warunkiem, że pierwszą jego uchwałą będzie uznanie suwerenności węgierskiej. W każdym razie Wołoszyn przebywa w Berlinie i prowadzi cały czas jakieś, utrzymywane w ścisłej tajemnicy, pertraktacje z rządem niemieckim. Organy jawnie berlińskiej orientacji wśród Ukraińców piszą jeszcze wyraźniej. Mówią one o „zmianie kursu" na Zakarpaciu, przewidują rychły powrót ks. Wołoszyna i zapowiadają odbudowę „Siczy" zakarpackiej.

Ręka Trzeciej Rzeszy w Gdańsku. Mieliśmy, na terenie Gdańska, w ostatnich kilkunastu dniach wypadki w Kalthof, małą awanturkę w Lisowie, awantury anty-polskie w Piekle, wreszcie jakieś tajemnicze, tylko Deutsches Nachrichten-Bureau znane, zajście na pograniczu z jakimiś dwoma „nieznanymi żołnierzami" polskimi. Nie zatrzymując się nad szczegółami tych zajść stwierdźmy tutaj, na podstawie oświadczeń niemieckich, tło i cel tych wypadków.

Na pogrzebie rzeźnika Grübnera oświadczył landrat Andres, szef partii hitlerowskiej i zarazem szef administracji pow. Wielkie Żuławy: „My, Niemcy gdańscy oddaliśmy nasze losy w ręce wodza Rzeszy Niemieckiej. Wbrew woli Adolfa Hitlera nic się w Gdańsku nie stanie". Zanotujmy to cenne wyznanie: oznacza ono, że stan napięcia i awantur antypolskich w Gdańsku został stworzony z woli Adolfa Hitlera. Nie było to zresztą niespodzianką dla nikogo, kto uważnie obserwował wizyty dygnitarzy gdańskich w Berlinie i Berchtesgaden a dygnitarzy Trzeciej Rzeszy w Gdańsku. Ale chodzi o jeszcze coś: o dziwną zbieżność przyczyn tych awantur z żądaniami Trzeciej Rzeszy.

Proszę: Rzesza żąda Anschlussu Gdańska. Polska kontrola celna jest jedną z najważniejszych przeszkód na drodze do cichego dokonania tego „Anschlussu". Wybuchają awantury przeciwko polskim kontrolerom celnym. „Frankfurter Zeitung" może już pisać: „Prawo polskiej kontroli celnej sprzeczne jest z charakterem miasta i wolą ludności". Co więcej, urzędowa „Pressestelle" Senatu gdańskiego idzie jeszcze dalej. Wypadek w Kalthof napełnia ją przekonaniem, „że ukształtowanie Gdańska

takie, jakie zostało dokonane w traktacie wersalskim jest niemożliwe na stałe do utrzymania". „Wykazano" to, co chciano „wykazać".

Zupełnie podobna jest sprawa lisowska: Trzecia Rzesza żąda „korytarza" przez Pomorze. Wprawdzie w ciągu ostatnich dziesięciu lat tranzytu przez Pomorze zdarzyły się akurat — dwa wypadki sporne, załatwione zresztą również polubownie, ale od czegóż jest prowokacja? Kręci się hitlerowiec na przejściu granicznym w miejscu zakazanym do przechodzenia, unika planowo kontroli, a skoro go straż graniczna zmusiła do wejścia na posterunek — jest incydent. I „Deutsches Nachrichten-Bureau" trąbi na cały świat: „Już dzisiaj ruch tranzytowy przez „korytarz" grozi niebezpieczeństwami".

Sprawa jest jasna: chodzi o planowe przygotowywanie pretekstów do kampanii propagandowych, nie tylko w Niemczech ale i na Zachodzie, o stworzenie pozorów „krwawiącej granicy". Trzeba sobie z tego zdawać sprawę i, zachowując zupełny spokój wewnątrz kraju, podejmować energiczną kontrakcję zagranicą.

Ważną sprawą jest powrót do Gdańska Wysokiego Komisarza Ligi Narodów. W związku z tym powrotem krążyły w prasie zagranicznej różne na szczęście przez niego samego zdementowane pogłoski. Wymieniano nazwisko p. Runcimana. Stanowisko Polski powinno być jasne i niedwuznaczne: zadaniem Wysokiego Komisarza jest przestrzeganie zachowania Konstytucji Wolnego Miasta, na każdym kroku gwałconej przez hitlerowców. To, tylko to, i nic więcej. Inna rzecz, że niewiadomo na ile nadaje się do spełnienia tego właśnie zadania p. Burckhardt, chwalony przez kanclerza Hitlera jako „osobistość o wyjątkowym takcie". Wolelibyśmy dawnego Wysokiego Komisarza Ligi, Lestera, który wykazał wiele energii w przeciwstawianiu się pretensjom hitlerowskim. Niestety odszedł on z Gdańska wskutek starań nie tylko hitlerowców... Ale, trzeba przypomnieć, że Komisarz Ligi, ma prawo, w razie naruszenia stanu prawnego w Gdańsku, zażądać zbrojnej pomocy Rzeczypospolitej. Zdaje się, że to przypomnienie jest w tej chwili szczególnie na czasie.

Polska w stanie pogotowia.

W ostatniej dekadzie nieco mniej głośno było o Polsce na łamach prasy światowej. Inne problemy wysunęły się na czoło, zabrały dla siebie pierwsze szpalty i tłuste tytuły. To dobrze, gdyż oznacza to, że w toku obecnej rozgrywki punkt ciężkości przesunął się na chwilę nieco dalej od nas.

Ale nie znaczy to, że wolno nam bodaj odrobinę osłabić czujność, odwrócić wzrok od granic. Trzecia Rzesza nie zrezygnowała z niczego i nie myśli z niczego rezygnować. Niebezpieczeństwo trwa. Walka z naciskiem osi na Bałkany i basen naddunajski, walka z monachijskimi agentami osi na Zachodzie, to zarazem walka w obronie naszego Pomorza, w obronie praw Rzeczypospolitej w Gdańsku. Dlatego bacznie musimy obserwować wypadki, rozgrywające się dokoła nas.

EDWARD DALADIER

Biografia przewodniczącego partii radykalnej i premiera Daladier jest poniekąd historią tej partii w ostatnim dziesięcioleciu.

Edward Daladier, syn majstra piekarskiego z Prowansji urodził się w 1884 r. Gimnazjum ukończył w Lyonie, gdzie Herriot był jego nauczycielem. Po studiach w Ecole Normale Supérieure jest przez szereg lat profesorem licealnym. W wojnie światowej odznacza się dzielnością i awansuje od stopnia sierżanta do kapitana. Po wojnie wybiera go rodzinna Prowansja do parlamentu. Daladier przystępuje do radykałów i jego nauczyciel Herriot powołuje go w 1924 r. do swego gabinetu jako ministra kolonii. Kolejno, w gabinecie Painlevé jest ministrem wojny a w gabinecie Brianda ministrem oświaty. Pozycja jego w partii radykalnej rośnie. W 1927 r. kongres partyjny wybiera go na przewodniczącego partii w miejsce Herriota. Daladier jest wówczas lewicowym. W 1929 r. zakłada dziennik „La République", w którym publikuje (1930) artykuł opowiadający się za porozumieniem francusko-niemieckim, przy czym Francja miałaby pożyczką pomóc Niemcom w przezwyciężeniu kryzysu gospodarczego. W 1932 r. jest ministrem robót publicznych w rządzie Herriota, następnie w rządzie Paul Boncoura ministrem wojny, a 1933 r. po raz pierwszy premierem. Znowu ustępuje, aby ponownie, w lutym 1934 r., objąć premierostwo po ujawnieniu afery Stavisky'ego.

Afera ta ukazała Francji republikańskiej po raz pierwszy w okresie powojennym widmo reakcyjnej dyktatury. Zwycięstwo Hitlera w Niemczech tak wzmocniło siłę i aktywność organizacyj faszystowskich, Action Française, Jeunesses Patriotes i Croix de Feu, że wykorzystując udział zawodowych polityków radykalnego mieszczaństwa w tej aferze korupcyjnej, wystąpiły one na ulicę. Dn. 6 lutego 1934, gdy w parlamencie walczył Daladier z Tardieu o votum zaufania dla swego rządu, 30 tysięcy faszystów demonstrowało przed Palais Bourbon przeciw „republice aferzystów". Otrzymawszy większość w parlamencie Daladier rzuca gwardię cywilną i policję na demonstrantów. 30 zabitych i przeszło 2 tysiące rannych. Na bulwarach demonstrują młodzi synowie arystokracji i burżuazji, a wraz z nimi stała ich czeladź, lumpenproletariat wielkomiejski przeciw „mordercy Daladier". Daladier mając zaufanie republikańskiego parlamentu ustępuje przed naporem faszystowskiej ulicy i podaje się do dymisji.

6 luty i widmo przewrotu faszystowskiego pchnęło radykałów i Daladiera na lewo. W obronie swobód republikańskich powstaje wspólny front radykalnego mieszczaństwa i proletariatu — front ludowy. Zwycięstwo wyborcze z dn. 3 maja 1936 r. koalicji radykałów, socjalistów i komunistów stawia na czele Francji pierwszy rząd frontu ludowego — rząd Leona Bluma. Daladier jest w tym rządzie ministrem wojny.

Dn. 7 marca 1936 r. nastąpiła remilitaryzacja Nadrenii, dn. 2 listopada 1936 r. ogłasza Mussolini w mowie mediolańskiej istnienie osi Berlin — Rzym, a dn. 6 listopada podpisuje ambasador japoński w Berlinie antykominternowski układ Berlin — Tokio. Daladier otrzymuje od frontu ludowego nieograniczone pełnomocnictwa w swym resorcie dla wzmożenia zbrojeń oraz pełne zaufanie i poparcie partyj robotniczych. Daladier nie ufa jednak robotnikom. Organ prasowy szefa rzadu „Populaire" nie ma debitu w koszarach republikańskiej armii.

Burżuazja francuska, kapitulancka a częściowo wręcz proniemiecka, mimo rozgałęzionych sojuszów militarnych na kontynencie czuje się mocno zagrożona wobec rosnącej agresji osi. Równocześnie dają jej się we znaki nowe zdobycze socjalne i wzrost potęgi proletariatu — głównej siły frontu ludowego. Pod wpływem obu tych czynników postępuje nacisk prawicy na radykałów w celu obalenia rządu Bluma oraz wysunięcia nowej orientacji w polityce zagranicznej, która czyni z Francji trabanta polityki angielskiej i która w układzie monachijskim znalazła swe ukoronowanie.

Dn. 20 lutego 1938 r. udzielił Chamberlain dymisji Edenowi i wziął radykalny kurs na linię polityki zagranicznej, dyktowaną już od szeregu lat przez finansjerę londyńską. Apetyty trójkąta Berlin — Rzym — Tokio miały być zaspokojone. Niemcy kosztem Europy środkowej i wschodniej, Włochy kosztem Francji, a Japonia miała być skierowana na północno-wschodnią część kontynentu azjatyckiego.

Ale rząd Bluma, chociaż poszedł na nieinterwencję wobec najazdu osi na Hiszpanię, jednak nie dawał gwarancji ścisłego wykonywania poleceń Londynu. Wówczas w porozumieniu z Chamberlainem Montagu Norman, dyrektor Banku Anglii, zaatakował frank francuski na giełdach światowych. Skutek był natychmiastowy. Upadł rząd Bluma a miejsce jego zajął najpierw Chautemps a po nim Daladier, który otrzymał, jako angielskiego kontrolera, ministra spraw zagranicznych Bonneta, męża zaufania Normana i Chamberlaina.

Dn. 10 kwietnia 1938 r. w miesiąc po zagrabieniu Austrii objął Daladier stanowisko premiera a już w maju rozpoczął się kryzys sudecki. Hitler nie tracąc tempa, rozpoczął akcję w Europie środkowej, która zakończyła się pierwszym rozbiorem Czechosłowacji i układem monachijskim. I tu kapitulantem — poza oczywiście Czechosłowacją — był przede wszystkim Daladier i finansjera francuska, która zdradzając swego najpewniejszego sojusznika, poderwała swój długo budowany system sojuszów. Chamberlain kapitulował krótkowzrocznie kosztem Francji w błogiej nadziei, że Hitler rozpocznie wreszcie upragniony marsz na wschód.

Równocześnie dojrzewał rozłam w froncie ludowym. Prawicowe skrzydło radykałów z Emilem Roche na czele przeciwstawiło się żądaniom proletariatu, który swe zwycięstwo polityczne usiłował przez masowe strajki uzupełnić zdobyczami ekonomicznymi i poprawą swego położenia. Na tle dewaluacji franka i rosnącej drożyzny usiłowano odciągnąć od proletariatu drobną burżuazję miejską i wiejską — ciułacką i rentierską, której bardzo zależy na stałości waluty swych lokat. Petit bourgeois widział oczywiście autora dewaluacji w Leonie Blumie, który „trwonił pieniądze podatkowe dla proletariatu" a nie w Montagu Normanie. Trzecią, nienajmniejszą, przyczyną rozłamu w froncie ludowym była ogólna niechęć i obawa przed wojną wśród warstw średnich i szczególności chłopów, na których przypadły dwie trzecie ofiar w wojnie światowej. Tą ostatnią kartą zagrał Daladier. Odpowiadając na interpelację komunistów w sprawie układu monachijskiego rzucił demagogiczne pytanie: „Czyż pod pretekstem nieugiętości miałem rzucić Francję w wojnę i znowu poświęcić życie miliona lub dwu milionów chłopów francuskich". Straszak wojny i miraż pokoju umożliwiły Daladier'owi przejście od współpracy z partiami robotniczymi do polityki likwidacji frontu ludowego.

Na kongresie marsylskim w październiku 1938 r. starły się dwa kierunki w partii radykalnej. Mniejszość za dalszą współpracą w froncie ludowym i większość wokół Daladiera, która nie tylko przeciwstawia się dotychczasowej polityce, ale zgoła zmierza do dyktatorskiego ufundowania reżymu. Minister Sarraut, szara eminencja partii, zakończył swe przemówienie na kongresie słowami: „Naprzód Daladier! Pójdziemy za panem". W odpowiedzi Daladier tłumaczył się, że nie ma ambicyj odegrania roli... pierwszego konsula.

Jednak próba rozprawy z proletariatem w związku ze strajkiem generalnym dowodzi jeszcze raz słuszności talleyrandowskiego „nie wierzę w wiadomości nie zdementowane".

Położenie Francji uległo tymczasem dalszemu pogorszeniu. Rzym wysunął nawpół oficjalnie żądanie Dżibuti, Tunisu i części akcyj Suezu. Układ Chamberlain — Mussolini i pośrednictwo angielskie według runcimanowskich wzorów przesądził o przegranej Hiszpanii republikańskiej, spowodował powstanie trzeciej niebezpiecznej granicy w Pirenejach, oraz zagroził transportowi francuskich wojsk kolonialnych do metropolii. Daladier, który swą silną rękę pokazywał jedynie w polityce wewnętrznej, nie tylko pomógł gen. Franko oddając mu hiszpańską flotę republiki i jej sprzęt wojenny, lecz wręcz gotów był pójść na ustępstwa wobec Mussoliniego.

Ale oś pokrzyżowała plany anglo-francuskie. W miarę tego jak stawało się jasnym, że posunięcia w Europie środkowej i południowej bynajmniej nie są wstępem do napoleońskiej wyprawy na wschód

---

Przebieg Zielonego Święta Ludowego ujawnił imponującą postawę mas chłopskich, gotowych do odparcia każdego zamachu na ziemie i prawa Rzeczypospolitej, stał się potężną, demokratyczną manifestacją patriotyzmu ludowego, niewzruszonego fundamentu, na którym wspiera się moc obronna Ojczyzny. W dniu 28-go maja chłopi polscy raz jeszcze zadokumentowali swą wierność dla sztandaru ludowego, swe przywiązanie do ideałów demokratycznych, swą niezłomną wolę obrony Polski przed niemieckim imperializmem. Żywiołowy entuzjazm, z jakim kilkudziesięciotysięczne rzesze chłopskie witały Wincentego Witosa w Przeworsku i w Mościskach, świadczy o niezachwianym zaufaniu, którym lud polski darzy swego przywódcę. Powitanie Witosa na rynku przeworskim przez delegację PPS i klasowych związków zawodowych, oraz manifestacja powitalna, zgotowana mu podczas przejazdu przez Przemyśl ze strony tamtejszej organizacji PPS i robotników przemyskich — to radosne objawy solidarności obu wielkich odłamów demokracji.

lecz pacyfikacją tyłów, że poprzez zabory terytorialne oś przygotowuje sobie możliwie korzystną sytuację wyjściową do rozpraw w basenie morza Śródziemnego i na zachodzie, rozpoczął się odwrót w polityce angielskiej na „zgóry przygotowane pozycje".

Zabór Czechosłowacji zainaugurował ten odwrót. Chamberlain a po nim Daladier zastosowali system gwarancji na wypadek wyraźnego zagrożenia niepodległości. Daladier wystąpił z nieustępliwą mową wobec żądań włoskich. „Francja nię zaakceptuje nigdy tego, aby stosunki między narodami były regulowane siłą. Dla Francuzów stosunki te powinny regulować sprawiedliwość i prawo". W Wilhelmshaven odpowiedział mu Hitler: „Kto nie posiada siły, ten traci prawo do życia".

Równocześnie wykorzystał Daladier zabór Czech w polityce wewnętrznej, otrzymując od prawicy i zdezorientowanych radykałów 8-miesięczne pełnomocnictwa, które wyposażają go we władzę wręcz dyktatorską. Pod pretekstem „troski o obronność" prawica francuska pragnęłaby zaprowadzić demokrację kierowaną—demokrację „bez sporów i opozycji..."

Niewątpliwie jednak, szczerze demokratyczny odłam stronnictwa radykalnego, reprezentujący potrzeby i dążenia drobnomieszczańskiej i chłopskiej masy partyjnej, odeprze wszelkie totalistyczne zakusy na wolność Francji — w ścisłym sojuszu z całą, pozostałą demokracją francuską.

IGNACY WOLSKI

Duch nauczycielstwa

Zwołany przez Związek Nauczycielstwa Polskiego IV Kongres Pedagogiczny, obradował przez trzy dni w Warszawie przy udziale ponad 1000 delegatów, nauczycieli, naukowców i działaczy oświatowych. Zjechali się oni z całej Polski, wyrzekłszy się odpoczynku świątecznego, aby w sercu kraju radzić nad losem oświaty, a przede wszystkim losem szkoły powszechnej.

Baczny uczestnik kongresu, obserwując wielką salę posiedzeń plenarnych, wypełnioną po brzegi rzeszą nauczycielską, skupioną i zasłuchaną, a żywo reagującą na wszystkie wolnościowe, demokratyczne i patriotyczne akcenty prelegentów — nie miał wątpliwości, że znajduje się wśród szermierzy światła, mających świadomość swego powołania i znaczenia swojej służby społecznej! Nie miał wątpliwości, że Kongres Pedagogiczny, rozstrzygający zagadnienia oświaty i wychowania, nie jest zwyczajnym zgromadzeniem zasuszonych szkolarzy lub fachowych pedantów, lecz entuzjastycznych obrońców oświaty demokratycznej, zaciętych przeciwników wstecznictwa i totalizmu. Duch kongresu świadczył jak najwyraźniej, że nauczycielstwo szkół powszechnych, powiązane żywymi węzłami z całą pracującą Polską, z całym ludem polskim, gotowe jest do udaremnienia jakichkolwiek zamachów na całość i na prawa Rzeczypospolitej.

Odkładając merytoryczne sprawozdanie do następnego numeru „Epoki", tutaj pragniemy tylko podnieść i zaznaczyć samo zjawisko Kongresu Pedagogicznego, zwołanego w ważnej, historycznej chwili dla Polski pod znakiem obronności i demokratyzacji szkolnictwa. Nie ma takich umysłów, wrażliwych na los oświaty i nie ma takich serc, czułych na losy Rzeczypospolitej, które by na widok tej patriotycznej postawy nauczycielstwa, związanego z najpiękniejszymi tradycjami walk o wolność — nie wezbrały dumą i radością.

EPOKA.

Z dnia na dzień

GŁUPI NIEDŹWIEDZIU...

Wobec niesamowitych poczynań kilku nielicznych na szczęście i minorum gentium skrybów faszystowskich, którzy w zagadkowych celach, ale z zupełnie niewątpliwym rozbijackim i dywersyjnym skutkiem, prowadzą od jakiegoś czasu ciemną, ale planową nagonkę przeciw niemiłym sobie poetom i publicystom — wystarczy jedno stwierdzić na razie.

Jeżeli dla zdyskredytowania przeciwników „wypomina się" im utwory poetyckie z przed lat 15 i 20, pisane w innym zgoła okresie, w innej sytuacji Polski i Europy, w obliczu innych zadań, stojących przed narodem polskim zmęczonym i wyczerpanym rzezią światową i wyniszczeniem wojennym, przed narodem, który pragnął jedynie umacniać w pokoju swą krwawo zdobytą niepodległość — to o ileż łatwiej byłoby stronie przeciwnej sięgnąć nie aż tak daleko, ale zaledwie do ostatnich czasów, powiedzmy, lat pięciu, sięgnąć do roczników prasy antydemokratycznej. Znalazło by się tam aż nadto materiału „demaskatorskiego", który przypomniany dziś, w obliczu bezpośredniej już groźby pangermańskiej agresji — wywołałby w całym kraju prawdziwe osłupienie.

Nie czyni się tego jednak, gdyż nakaz patriotycznego zjednoczenia całego społeczeństwa pod znakiem obrony wymaga skupienia wszystkich sił i energii dla wielkich zadań dozbrojenia moralnego. A zresztą komu by się chciało rozgrzebywać, jak się okazuje, wciąż jeszcze parujące śmietniki. Jednakże człowiek przewidujący nie może wyłączać i takiej smutnej ewentualności, kiedy trzeba byłoby, zatykając nos, zabrać się do wertowania wiadomych roczników.

Po cóż więc stwarzać sytuację, do której wypadło by wtedy zastosować słowa: głupi niedźwiedziu, gdybyś w mateczniku siedział...

„MYŚL NARODOWA" OBRAŻONA

Obraziła się na nas „Myśl Narodowa" za przedrukowanie i skomentowanie jej uwag o paradoksalnej sytuacji nacjonalizmu polskiego. Nuże więc wylewać na nas pełne kubły „obelg". Dostało się jednocześnie, zupełnie niewinnie, Józefowi Wasowskiemu, którego nader cenne i znane pióro od paru już lat nie zasila niestety „Epoki". Ale mniejsza o to. Chodzi o rzecz zasadniczą. „Myśl Narodowa" gniewa się, że zarzucamy jej brak dalekowzroczności politycznej i że przeciwstawiamy jej, określane przez nią jako „frazes", stanowisko całego obozu demokracji polskiej. Sprawa wymaga wyjaśnienia.

Oklaskiwaliście, Panowie, wy sami i cały wasz obóz, radośnie wszystkie niemal, aż do wiosny 1939 r. posunięcia państw totalnych? Szerzyliście w Polsce ich ideologię, stawialiście je Polsce jako wzór? Zachwycaliście się Panowie „podmuchem historii' nad Wiedniem? Przyznawaliście się ustami p. Szwajdlera, w Radzie Miejskiej Łodzi do Hitlera i Mussoliniego? Skandowaliście w takt hitlerowskiej piosenki o masońskiej Czechosłowacji? Posyłaliście złote ryngrafy generałowi Franco? Tak czy nie? Głosiliście, piórem p. S. K. w „Warszawskim Dzienniku Narodowym", że właśnie z chwilą dojścia do władzy Hitlera Niemcy stają się mniej groźne dla Polski, ich Drang nach Osten staje się słabszy? Tak czy nie?

A demokracja polska, cała, bez reszty demokracja polska? Czy nie mówiła ona od pierwszej chwili, że — zacytujemy słowa M. Niedziałkowskiego — prąd faszystowski jest prądem wrogim niepodległości Polski? Czy nie piętnowała propagandy Berlinternu w Polsce? Czy nie powtarzała — niezależnie od sprawy zaolziańskiej — że w interesie Państwa Polskiego, w interesie niepodległości Polski leży niezależna od Niemiec, niepodległa Czechosłowacja? Czy nie piętnowała podboju Hiszpanii przez włosko - niemieckie legiony gen. Franco? Tak czy nie?

Czy w tej chwili cała prasa totalna, nietylko niemiecka, ale włoska, ale hiszpańsko-frankistowska nie popiera stanowiska Berlina, zmierzającego do wasalizacji Polski? Czy wasi współideowcy na Zachodzie, hitlerofile i faszystofile angielscy i francuscy, te wszystkie Dorioty, Déaty, Mosleye, ruchy faszystowskie, bandy gangsterów politycznych, ci wszyscy, których reklamowaliście, zachwalaliście i stawialiście nam za wzór, nie ujadają teraz w takt pałeczki p. Goebbelsa na Polskę, nie próbują poderwać sojuszu Polski ze swymi krajami, nie wydzierają się: „Nie chcemy umierać za Gdańsk"? Czy, słowem, cały nacjonalistyczny „internacjonał", ten „internacjonał", z którym bratališcie się i który w ideologii swej kopiujecie, który naśladujecie nawet faszystowskim podniesieniem ręki, nie stoi dzisiaj w obozie wrogów Polski? Tak czy nie?

Komu wyszło na korzyść rozbicie Czechosłowacji, podbój Hiszpanii przez gen. Franco? Polsce czy Niemcom?

Fakty mówią dobitniej niż bezsilne miotanie się.

NIEPOPRAWNI...

„Myśl Narodowa" nie jest jednak jedyna. Znajdujemy sporo jeszcze organów, które teraz nie mogą jakoś wyzbyć się starych nałogów.

Jakże bowiem inaczej można sobie tłumaczyć stanowisko np. „Polityki", uznającej właśnie chwilę obecną za stosowną do ukazywania nam straszliwych następstw, jakie na Polskę ściągnąć może ewentualna wojna z Niemcami „dopóki Sowiety nie są podzielone na kilka państw"? „Polityki", która jeszcze w tej chwili opowiada nam, że następstwem paktu z 1934 r. (po którego zerwaniu, jak wiadomo, „nie nosimy żałoby") „był olbrzymi wzrost potęgi zarówno Niemiec, jak i **Polski** w stosunku do wszystkich innych państw Europy"?

Jeszcze większy niepokój budzić musi propaganda, prowadzona przez inny organ nacjonalistyczny, przez „Merkuriusza Ordynaryjnego". Do czego zmierza prowadzona w tym piśmie planowa kampania przeciwko Anglii? W imię czego zacny ten organ obiecuje nam z głupia frant, że Trzecia Rzesza nie tylko zrezygnuje dobrowolnie z zapędów anty-polskich, ale także wspaniałomyślnie odda Polsce Prusy Wschodnie i Śląsk Opolski, byle uzyskać pomoc polską przeciwko Anglii i Francji? Jakiż sens ma dziś podpowiadanie polityce polskiej sojuszu z potęgami takimi jak np. Węgry i państwa bałtyckie i odgrodzenie się od Zachodu? Komu to jest potrzebne?

Gdyby ktoś odpowiedział na to pytanie, można byłoby zrozumieć dlaczego organ Pani Wielopolskiej (Jehanne) przedrukowuje jako pendant do sprawozdań demokratycznej prasy polskiej o przebiegu paryskiej konferencji, elukubracje hitlerowskiej szmaty francuskiej, zarzucającej uczestnikom tej konferencji, że chcą kosztem śmierci kilku milionów Francuzów umożliwić pogrom faszystów europejskich. Zrozumielibyśmy wtedy, dlaczego „Merkuriusz" zapomniał o tej drobnostce, że na tej konferencji przejawił się entuzjazm dla Polski, zrozumielibyśmy dlaczego w tej chwili właśnie Déat twierdzi, że nie chce, by kilka milionów Francuzów ginęło za Gdańsk... Wtedy stałoby się jasne, dlaczego, w stylu Streichera i Farinacciego, ten sam organ, w tym samym numerze zarzuca kardynałowi Verdier, jezuitom i dominikanom francuskim, nie mówiąc już o takich notorycznych „bolszewikach" jak Mauriac i Maritain, udział w akcji „masońskiej", zmierzającej do „rozbrojenia chrześcijan". Pan Babiński chce ratować Kościół przed „naiwnością" kard. Verdier — tak jak to robi Farinacci we Włoszech (ten sam, który właśnie gra pierwsze skrzypce w kampanii antypolskiej we Włoszech)...

TĘPE NARZĘDZIA

Jedni totaliści pracują w dziedzinie „ideologii", inni zaś uprawiają działalność o wiele bardziej konkretną. Szajka nożowców i pałkarzy, gnieżdżących się, pod pretekstem studiów, na wyższych uczelniach lwowskich, dała znowu znak życia. Rezultat: siedmiu rannych i jeden zabity (oczywiście: wszystko z tych „innych"). Prokuratura lwowska zastanawia się w tej chwili, czy student Landesberg zamordowany został przez zbójów, którzy go napadli i zmasakrowali, czy też tylko przypadkowo, bezpośrednio po masakrze „bez żadnej winy ze strony osób trzecich", jak brzmi komunikat P.A.T-a, potknął się na schodach i umarł... Zaznaczmy, że korespondent lwowski „Kuriera Warszawskiego" nie podziela tych wątpliwości. Kronika lwowska tego dziennika mówi wyraźnie o zabójstwie — o tym także mówi odezwa rektora Politechniki, prof. Suchardy, niezbyt dalekiego od naszych „narodowców".

W tej sytuacji warto przypomnieć pewien szczegół z niedalekiej przeszłości. Może on być znowu aktualny i dziś. Bezpośrednio po napadzie

bojówki endeckiej na zebranie młodzieży ludowej, kiedy przez cały kraj szła fala oburzenia przeciw endeckim pałkarzom, prezes Zarządu Okręgowego endecji prof. Głąbiński głosił w oświadczeniu prasowym: „uważam za rzecz wykluczoną, aby zorganizowana młodzież mogła dopuścić się podobnego zajścia przeciw polskiej młodzieży ludowej". Okazało się, że to jednak była „zorganizowana młodzież narodowa". Okazało się, że bandę pałkarzy zorganizowano i uzbrojono w jednej z organizacji samopomocowych, opanowanych przez endecję. I — co więcej, sam p. prof. Głąbiński zademonstrował swą solidarność z pałkarzami. Bo oto jak opisywało endeckie lwowskie „Słowo Narodowe" ingres pana profesora na salę sądową, gdzie właśnie rozpatrywano tę sprawę: „Na jego widok wszyscy oskarżeni wstają. Prof. Głąbiński wita ich podniesieniem ręki..."

Wita podniesieniem ręki. A więc: organizacyjnym pozdrowieniem. A więc: uznaje ich za „swoich ludzi", za ludzi swego obozu. Nie odgranicza się od pałkarzy jako od zaślepieńców, opanowanych przez obcą agenturę... A więc, szerzone w pierwszym czasie po napadzie z kół endeckich wieści o „prowokacji" okazały się niesłuszne. Potwierdziło to podniesienie ręki p. prof. Głąbińskiego.

Wiemy teraz co myśleć o kolejnych deklaracjach endeckich. Ale pozostaje dalej dokuczliwe, dręczące, bolesne pytanie: komu ta krew była potrzebna? W czyim to właściwie leży interesie?

„NADGORLIWCY", CZY COŚ INNEGO?

Inny odłam naszej prasy reakcyjnej również zasługuje na uwagę. Zacytujemy tu taki przykład francuski. Istnieje taka, nędzna, szmata hitlerowska we Francji: „Je suis partout". Pro-frankistowska, filomussolinowska, faszystowska na wewnątrz, anty-beneszowa, anty-anglosaska, anty-semicka. Wymieniono ją wielekroć w wykazach pism, będących zagranicą na usługach p. Goebbelsa. Ta to gadzinówka niedawno nagle i błyskawicznie zmieniła front: obwieściła w olbrzymim artykule, że z Niemcami trzeba skończyć, że trzeba je rozparcelować na dwadzieścia państewek, że trzeba posunąć posterunki francuskie jaknajdalej w głąb Niemiec. Starzy zwolennicy francuskiego „stronnictwa oporu" kręcili głowami, czytając te elukubracje wczorajszego entuzjasty Hitlera i jego „Wielkiej Rzeszy", ale ostatecznie zlekceważyli je. Bo któżby się liczył z „Je suis partout"...

Okazało się, że zlekceważyli niesłusznie. Bo wywody eks-hitlerowskiej ścierki, wywody, które przebrzmiały bez echa we Francji, znalazły odrazu szeroki oddźwięk „im deutschen Blätterwald". Jak na skinienie tajemniczej ręki, w czołowych pismach niemieckich ukazały się artykuły wstępne z obszernymi cytatami z „Je suis partout". P. Goebbels znalazł „dowód", który był mu potrzebny. Mógł krzyknąć do chłopów Tyrolu i Palatynatu, do robotników Ruhry i Saksonii: „Widzicie, chcą was ujarzmić, chcą wam odebrać wspólne państwo, chcą was wyzuć z niemczyzny. To nie Hitler dąży do coraz nowych podbojów, to Francja, Anglia i Polska". Przysłużyło mu się „Je suis partout". Przez głupotę, czy... przez coś innego?

Mieliśmy i w Polsce takie wybryki, właśnie ze strony pism wczoraj wybitnie hitlerochwalczych. Mieliśmy żądania Łużyc, Szczecina, prawie Berlina. Oczywiście, u nas, nikt ich nie brał na serio. Ale korzystał z nich p. Goebbels. Słusznie pisze daleki nam politycznie, p. Romer w „Czasie": „Propaganda niemiecka wykorzystuje każde słowo, pisane czy powiedziane w jakiejkolwiek Pipidówce, a mogące świadczyć o rzekomej „polskiej zaborczości". Nasi nacjonaliści starają się zaopatrzyć ją w ten materiał jaknajobficiej. Właśnie dwa dni temu czytaliśmy w organie, który długie lata piał hymny na cześć Trzeciej Rzeszy, artykuł jednego z pierwszych entuzjastów Hitlera w Polsce, oburzający się, że demokraci polscy nie mają ochoty za winy dyktatora Trzeciej Rzeszy karać cały naród niemiecki. Pan ten nie zdaje sobie widać sprawy, że takie jego stanowisko wywołać może tylko dwa następstwa: wzmocnienie pozycji zaborczej w stosunku do Polski kliki reżymowej w Niemczech i osłabienie Polski na sojuszniczym Zachodzie. Może mu to przecież ktoś wytłumaczy?

UWOLNILI SIĘ...

Ale rekord wszystkiego, trzeba przyznać, pobiła, szczególnie przyjaźnie traktowana przez O. Z. N., frakcja oenerowska w Radzie Miejskiej Warszawy. Nie dość, że panowie ci sprzeciwili się założeniu specjalnego oddziału muzeum, poświęconego historii walk o niepodległość, że protestowali przeciw zapaleniu znicza na stoku Cytadeli. Podług doniesień prasy, jeden z nich, p. mec. Sylwestrowicz oświadczyć miał dosłownie: „Czechosłowacja, skoro tylko stała się narodową, uwolniła się od Żydów".

P. mec. Sylwestrowicz zapomniał tylko dodać, że Czechosłowacja, „stając się narodową", „uwolniła" się nie tylko od Żydów! „Uwolniła" się od niepodległości, od armii, od wszelkiego bodaj śladu narodowej samodzielności. „Uwolniła się" bez oporu, bo „narodowcy", stojący u steru rządów, zabronili żołnierzom strzelać do wkraczających okupantów. Ustawy antysemickie, wprowadzane przez p. Hachę, przesłoniły p. mecenasowi wszystko inne. Czyżby w ferworze „narodowym" p. Sylwestrowicz, zachwycony hachowską norymberszczyzną „przeoczył" takie „drobnostki"?

Jeśli tak, to niech sobie przypomni jak „entuzjastycznie" witała p. Hachę w kinach publiczność warszawska.

GŁOS MŁODZIEŻY CHŁOPSKIEJ

Po odłożeniu na bok endo-ozonowo-oenerowych pism, otwieramy pismo, odzwierciadlające nie tylko nastroje polskiej wsi ale i rzeczywistą polską rację stanu. W „Wiciach" znajdujemy uchwały Zarządu Głównego „Wici" z dnia 29 i 30 kwietnia. Cytujemy osobno część poświęconą polityce zagranicznej. Tutaj chcielibyśmy tylko przedrukować piękny ustęp, poświęcony polityce wewnętrznej:

Wolność podstawą zdrowego rozwoju społeczeństw.

„Organizacja państwowa, stojąca na straży dobra społecznego nie powinna powstrzymać swobodnego rozwoju sił społecznych i nurtów ideologicznych, kształtujących się samodzielnie; ograniczanie wolności stowarzyszeń oraz działań społeczno-wychowawczych, oświatowych, politycznych i gospodarczych, pozbawionych cech stosowania, lub propagowania jakiegośkolwiek gwałtu, przemocy i siły — uważamy za szkodliwe ze stanowiska narodu i państwa; stosowanie w odniesieniu do społeczeństwa bezprawnego nacisku prowadzi do katastrofalnych kryzysów; im bardziej ruch społeczny jest pozbawiony wolności rozwoju, tym szybciej wzbiera w masach utajona dynamika ślepej nienawiści i zemsty, czego przykładem może być Rosja carska".

WYMOWA WYBORÓW SAMORZĄDOWYCH

Że takie stanowisko młodej — nie tylko młodej, ale i starej, ludowcowej wsi — zgodne jest z podstawową tendencją nastrojów miejskich, o tym świadczy dobitnie przebieg wyborów samorządowych. Wyraźne większości robotnicze zostały tu osiągnięte, m. in. w Lublinie, Radomiu, Będzinie, Grodnie, Starachowicach, Sosnowcu, Dąbrowie, Czeladzi, Ostrowcu, Siedlcach, Zamościu, Brześciu Kujawskim, Sochaczewie. Bardzo poważną pozycję zajmują stronnictwa robotnicze w szeregu innych miast, m. in. w Kielcach.

Zaznaczmy, że ten wynik wyborów znalazł głośne echo na szpaltach prasy... niemieckiej. Organy p. Goebbelsa pienią się wprost z wściekłości. Oczywiście, że, podobnie jak nasza prasa „narodowa", przypisują sukces P. P. S. wyłącznie Żydom. Nawet w ośrodkach takich jak Czeladź, posiadająca znikomy odsetek ludności żydowskiej. Ale przyznajemy, że gniew hitlerowców napełnia demokrację polską raczej satysfakcją.

Osobny problem stanowią wybory we Lwowie. Słusznie zapowiedział „Robotnik", że wybory te będą musiały być powtórzone — w innych warunkach. Pozbawiono tam praw wyborczych, na podstawie anonimowych protestów, kilkanaście tysięcy obywateli. Nadto unieważniano masowo listy. Dość wskazać, że listy P. P. S. unieważniono m. in. w okręgach takich jak Zniesienie, Zamarstynów, duża część Łyczakowa, w dzielnicy żydowskiej unieważniono listę Bundu w rejonie Słonecznej. Chcąc przetłumaczyć to na stosunki warszawskie: wyobraźmy sobie, że unieważniono listy P. P. S. na Woli, Powiślu i dużej części Pragi a Bundu w rejonie Smoczej i Stawek... Wynik wyborów lwowskich może służyć za sprawdzian zręczności „niewiadomych sprawców", ale nie nastrojów ludności Lwowa...

W odniesieniu do ludności ukraińskiej, nawet daleki od jakiejkolwiek „ugodowości" wobec Ukraińców, mocno w tej sprawie ulegający endeckim inspiracjom „Zwrot" pisze: „Jesteśmy z pewnością za energiczną polityką narodową we Lwowie i wszędzie indziej, nie znaczy to jednak, byśmy obecnie uważali za naturalną eliminację Ukraińców z samorządowego życia Lwowa. Czy mamy twierdzić, że nie ma we Lwowie dostatecznej ilości Ukraińców?"

OŚWIADCZENIE NAUKOWCÓW

Na czele kwietniowego zeszytu czasopisma **„Szkoły Wyższe"** znajdujemy oświadczenie redakcji tej treści:

„Gwałt dokonany na Czechosłowacji oddaje nowe placówki nauki w ręce przemocy, skazuje nowe rzesze pracowników naukowych na obozy koncentracyjne i tułaczkę. Na tym miejscu przesyłamy wszystkim naszym kolegom, którzy w tej chwili cierpią z powodu swoich przekonań lub pochodzenia, wyrazy głębokiego przejęcia się ich losem, tudzież słowa nadziei, że niedaleki już jest dzień, kiedy dana im będzie znowu możność uprawiania niczym nie skrępowanej pracy naukowej we własnym kraju".

Cóż dodać można do tego, prócz wyrazów pełnej solidarności z wystąpieniem „Szkół Wyższych"? Jedno tylko stwierdzić nadto wypada: że dziś, w półtora wieku po Deklaracji Praw Człowieka i Obywatela i po Konstytucji 3 Maja, nowoczesny despotyzm, hańbiący cywilizację europejską — zmusza do ogłaszania takich oświadczeń.

Świat zbolszewizowany

Żałujemy serdecznie, że nie byliśmy na rozprawie sądu grodzkiego w Warszawie, kiedy rozpatrywano skargę „Polonii" przeciwko ks. Kwiatkowskiemu o zniesławienie. Ks. Kwiatkowski, kierownik jakiegoś, o ile się nie mylimy, „Instytutu Walki z Komunizmem", wyraził się mianowicie publicznie: „nie dałbym dwóch groszy za to, że „Polonia" nie wysługuje się Kominternowi". Rozprawa ta obfitowała, jak wynika ze sprawozdania „Dziennika Bydgoskiego" w sensacje niełada.

Okazało się, przede wszystkim, że ks. Kwiatkowski, tytułujący się prałatem, jest prałatem z... własnej nominacji, czy raczej z nominacji swych przyjaciół ideowych, nie figuruje bowiem w wykazie prałatów, zamieszczonym w „Annuarium Pontificum". Ks. Kwiatkowski napróżno wyjaśniać miał sądowi, że „tytułują go prałatem" (tylko kto?). Ale to dopiero wstęp, zresztą drobnostka.

Do sensacyjnego naprawdę oświadczenia doszło dopiero w dalszym ciągu rozprawy. Oto na zapytanie, na czym polegały komunistyczne wpływy w „Polonii" odpowiedział wręcz: „Polonia" jest przeciwko osi Rzym — Berlin. Zdaniem ks. Kwiatkowskiego ten fakt wystarcza dla posądzenia o komunizm.

Przyznajemy, że po przeczytaniu tej sentencji straciliśmy na chwilę kontenans. Poprostu ukazały się naszym oczom nowe perspektywy, nowe światy. Uważaliśmy dotąd np., prezydenta Roosevelta za umiarkowanego, kapitalistycznego reformatora (ostatecznie Standard Oil czy inne United Steel jeszcze się nieźle mają w Stanach Zjednoczonych). Okazuje się: Roosevelt jest komunistą! Jest przecież przeciwnikiem osi. Uważaliśmy takiego Churchilla w Anglii za przedstawiciela wyraźnej, niewątpliwej angielskiej reakcji; to on przecież, by zacytować jeden tylko przykład, organizował armię łamistrajków w czasie wielkiego strajku generalnego r. 1926. Okazuje się: komunista! Jest przecież przeciw osi. Uważaliśmy „hrabiego Paryża", pretendenta do tronu francuskiego za przedstawiciela skrajnej reakcji francuskiej; chce przecież obalić ustrój republikański. Okazuje się: Agituje przeciw osi. Komunista! Cały numer możnaby zapełnić takimi rewelacjami: od Vickersa po kardynała Verdier, od króla szwedzkiego po arcybiskupa Canterbury — bolszewik na komuniście jedzie i stalinowcem pogania!

Doprawdy rewelacja. Możnaby ją, zresztą, przyjąć na wesoło, gdyby nie jedna okoliczność: ta mianowicie, że właśnie w tej chwili cała Polska, nie ta czy inna polska grupa polityczna, nie ten czy ów polityk, tylko całe społeczeństwo, z wyjątkiem chyba jakichś wyrzutków, kandydatów na polskich Hachów, znajduje się w konflikcie z tak uwielbianą przez ks. Kwiatkowskiego osią Berlin — Rzym. Że właśnie w tej chwili wszystkie organy prasowe tej osi zioną ogniem na Polskę, dowodząc, że Polska, w interesie walki z komunizmem i pokoju europejskiego, powinna przyjąć żądania kanclerza Hitlera. I że odczyty i publicystyka różnych „prałatów z własnej nominacji" mogą mieć tylko jedno znaczenie: mogą sprzyjać podyktowanemu „ideologicznymi" względami, kapitulanctwu wobec osi.

O prawo do krytyki

1.

Badanie środowisk społecznych oraz ich obyczajów poczyniło w naszym stuleciu znaczne postępy: mamy szereg ciekawych dzieł opisowych, może mniej udanych pod względem analizy, o życiu seksualnym dzikich, o ludach egzotycznych, znacznie mniej natomiast zwrócono uwagi na obyczajowość pewnych grup zawodowych w naszym społeczeństwie, mniej uwagi poświęcono badaniu wpływu tej obyczajowości w pewnych wypadkach na twórczość. Jeśli obyczajowość murarzy, robotników wielkich fabryk, chałupników itd., odgrywa mniejszą rolę w ich twórczości, to jednak obyczajowość środowiska literackiego wywiera przemożny wpływ na kształtowanie pewnych prądów, w ich rozwoju i oddziaływaniu na życie kulturalne epoki. Badano ostatnio wiele środowisk „ludzi marginesowych", natomiast środowisku literackiemu po za małymi wyjątkami — poświęcono najmniej uwagi, mimo że znajduje się ono na pograniczu między środowiskiem marginesowym a normalnie zawodowym.

Zadaniem poniższych uwag jest opis pewnych objawów obyczajowych środowiska literackiego, jak również nieśmiała próba analizy przyczyn tych zjawisk. Tak samo jak wśród ludów pierwotnych istnieje cały szereg obrządków, aż do tzw. potwornych obrzędów włącznie, podobnie i w środowisku literackim, a tym mianem nazywamy zarówno poetów i powieściopisarzy, jak krytyków, istnieje szereg obrządków od najłagodniejszych, aż do „dintojry" włącznie. Wobec tego, że obyczaje te są u nas prawie niezbadane, będziemy nazywać je terminami zapożyczonymi z innego środowiska.

Spośród obyczajów przyjętych w niektórych środowiskach literackich wymienimy 1) kult zmarłych, 2) sitwę, 3) dintojrę, 4) konformizm i lizusostwo, 5) kult analfabetyzmu.

Rzecz jasna, gdy mowa o pewnych obyczajach. nie oznacza to, że obejmują one wszystkich ludzi pióra, oznacza tylko, że przejawiają się one w pewnej części tego środowiska. A więc jest np. rzeczą przyjętą, że po śmierci jakiegoś pisarza ustają krytyki, i zaczyna się zwracanie uwagi na jego wielką, epokową rolę. Po śmierci, najzacieklejsi antagoniści starają się prześcignąć siebie w pochwałach, w uwielbianiu zasług zmarłego. Przez śmierć swą pisarz zyskuje nietykalność, **tabu.** Ten kult zmarłych znany jest nie tylko w środowisku czysto literackim, ale i w naukowym: profesor, który jest niewątpliwie zasłużony na swoim odcinku, może być w ciągu swego życia zupełnie lekceważony przez swych kolegów, natomiast po śmierci najzacieklejszy wróg wygłasza najbardziej pompatyczne przemówienie.

Tabu uzyskać można nie tylko za cenę śmierci, ale również i w drodze przystąpienia do pewnej **sitwy.** Nie należy mieszać sitwy z grupą ideową, łączącą pisarzy o jednym kierunku ideowym. W łonie jednego ugrupowania ideowego mogą istnieć różne sitwy, jak też na odwrót — sitwa może łączyć pisarzy różnych kierunków ideowych.

Sitwa polega na zmowie, oczywiście niepisanej, wzajemnego adorowania siebie, torowania sobie drogi, reklamy, przyjacielskich recenzji, ułatwiania wydawania. Sitwa stara się pchać swoich ludzi na kierownicze stanowiska w wydawnictwach, teatrach, redakcjach; umożliwia to wydawanie osądów o pracach członków sitwy, jak również i o pracach członków sitwy wrogiej, konkurencyjnej. Sitwy plenią się zarówno w środowisku prawicowym jak i lewicowym; członka sitwy nie należy, nie wolno atakować, dlatego że ułatwiłoby się w ten sposób drogę sitwie konkurencyjnej. Pozatem podniesienie w recenzji dodatnich cech pisarza sitwy innej, kurtuazyjny ton polemiki oceniany jest na ogół jako zdrada, renegactwo wobec własnego środowiska. Mniejsza tu o ideologiczne przesłanki. Młody pisarz. obdarzony mniejszym czy większym talentem, a dobrze obeznany z obyczajowością środowiska, usiłuje dostać się do jednej z sitw przy pomocy lizusostwa, pochlebstwa wobec możniejszych członków danej sitwy. W sitwie istnieje bowiem pewna hierarchia, jak w każdej mafii: w recenzji o takim lub innym pisarzu, należy użyć pięć razy słowa „niezwykły talent", „kultura pióra", „wielki pisarz na miarę europejską" itd. Na niższym stopniu hierarchii należy użyć innych przymiotników. Członek sitwy, jej aplikant, dobrze obeznany z obrzędowością może w szybkim tempie awansować, doczekać się wydania swej książki, nawet z przedmową i recenzją głoszącą, że zjawił się oto nowy, wielki talent. Młodzieniec, który wydaje grafomańską powieść, za którą należy go obić, przychodzi z pretensją, aby napisać koniecznie i to czym prędzej recenzję, w przekonaniu, że będzie ona przychylna, bo jakże to można inaczej napisać o członku tej samej partii!

Członków konkurencyjnych sitw tępi się przy pomocy **dintojry,** i to w różnych postaciach. Dintojra może polegać na przemilczaniu: cytuje się tylko pisarzy własnej sitwy. Uporczywie odmawia się pisania pochlebnego słowa o kimś wrogim. Najłatwiejsza droga dintojry wobec innoplemieńca polega na podkreśleniu kilkakrotnym pochodzenia i nawiązaniu do ogólnych cech rasy. W tym wypadku recenzja bywa krótka i jasna: Żyd, i mniejsza, co napisał, czym był powodowany pisząc, i jaką istotną wartość mają jego poglądy, praca itd. Gdy jednak tak się staje, że pisarzem wykańczanym okazuje się rodowity, (mówiąc językiem norymberskim) aryjczyk, zadanie jest trudniejsze, ale wtedy można odszukać wpływy obcej ideologii, zdradę interesów, itd. Osobliwym objawem tego „potwornego obrządku" jest wykańczanie pisarza dla jego znajomości spraw. Istnieje bowiem w niektórych środowiskach literackich, przy kulcie żywiołowości tworzenia pogarda dla wszelkiej pracy nad sobą, nauki; pisarz, który czyta — zostaje oskarżony o kompilatorstwo, ściąganie. a w wypadku konieczności szybkiej dintojry wynajduje się plagiaty, aby w ten sposób zepchnąć w cień całokształt twórczości.

Dintojra nie zawsze odbywa się, rzecz jasna, w interesie samej sitwy; sitwy bywają wykorzystywane przez pewne grupy polityczne dla wykańczania niewygodnych pisarzy. Tu w parze z dintojrą idzie konformizm, który łączy się z potrzebą zapewnienia sobie, w imię oczywi-

---

PRAWDZIWYM PRZYJACIELEM „EPOKI" JEST TEN, KTO POZYSKAŁ DLA PISMA JEDNEGO PRZYNAJMNIEJ PRENUMERATORA.

ście wielkiego talentu, wygodnych warunków materialnego bytowania. Należy zaznaczyć, że w okresie powojennym konformizm, obawa o własną skórę, wraz z falą reakcji stał się objawem zastraszającym, masowym. Pisarzy o odwadze i sumieniu Struga lub Żeromskiego jest niewielu. Natomiast konformizm przykrywa się pozą posągową, nietykalnego przechodzenia do porządku dnia nad sprawami istotnymi. Skarłowacenie charakteru wielkich talentów, hipokryzja, zakłamanie wobec siebie i ludzi staje się zjawiskiem nagminnym. W imię rzekomo skrajnie niekompromisowego stanowiska wobec rzerzywistości odmawia się zabrania głosu w sprawach, które powinny poruszyć sumienie społeczeństwa. Równanie na posadę,równanie na reżim, równanie na czynniki miarodajne — oto hasła konformizmu środowiska, od którego społeczeństwo domaga się często zabrania głosu.

Najohydniejsza forma konformizmu — to podszywanie się pod nieustępliwe, niezłomne stanowisko ideowe dla przykrycia swego tchórzostwa.

2.

Opis obyczajowego środowiska nie wystarczy: należy odszukać przyczyny. Obyczajowość niektórych środowisk literackich, to wynaturzona forma obrony swoich interesów, jaką w **każdym** środowisku ludzi marginesowych jest pewna mafia, zmowa, sitwa, zastępująca tu syndykat, związek zawodowy, solidarność istniejącą w każdym innym środowisku pracowniczym lub robotniczym. Ani w środowisku nauczycielskim, ani w środowisku robotniczym nie ma potrzeby tworzenia sitw itd., co najwyżej istnieje tam powszechnie „uznana“ w społeczeństwie współczesnym droga protekcjonizmu.

Pisarze, literaci pochodzą z różnych klas społecznych; często drogą żmudnej pracy dochodzą do pewnego dorobku pisarskiego. Natrafiają już na pewne tradycje i obyczaje rynku; na przykład tzw. cyganeria, bohema, zwyczaje życia kawiarnianego narzucone są środowisku literackiemu przez odbiorcę mieszczańskiego. Długie włosy, niechlujny ubiór, nie zawsze podyktowany brakiem środków — to poprostu snobistyczne dogadzanie głównemu nabywcy życia kulturalnego we współczesnym społeczeństwie: mieszczuchowi, dla którego artysta, pracownik pióra musi być „enfant terrible“, czymś niesamowitym, niecodziennym i kontrastem jego sybaryckiego, szarego życia codziennego. Oczywiście, długie włosy albo brudne paznokcie nie muszą być koniecznie potrzebne dla uzewnętrznienia wewnętrznego życia duchowego; natomiast wulgarny odbiorca mieszczański, który często kupując nie czyta książek, pragnie w tym ujrzeć symbol życia kulturalnego. Rynek narzuca więc młodemu pisarzowi, torującemu sobie drogę, pewne wymogi.

Drugą przyczyną, poza uwarunkowaniem rynku przez odbiorcę mieszczańskiego, jest zaognienie walk politycznych w naszych czasach i uproszczenie sobie zadań przez pewnych polityków, którzy nie działając na dłuższą metę, goniąc za krótkofalowymi sukcesami, rządzą się na terenie literackim jak szare gęsi, szafując oczywiście gęsto i często odpowiednimi subsydiami, popierając wygodne wydawnictwa, tępiąc przy pomocy usłużnych sobie aparatów — niewygodne. Stąd, środowisko literackie staje się odblaskiem metod, jakie faszyzm wnosi w całość życia społecznego. Faszyzm bowiem werbuje swój aparat nie z elementów produkcyjnych, ale właśnie w każdym zlumpowanym środowisku; wyławia najbardziej marginesowe, najbardziej podatne pod skorumpowanie elementy literackie, gdzie przecież prócz nędzy nie brak niewyżytych, nadmiernie wybujałych ambicyj, zawiści, itd.

Rynek mieszczański, świadome działanie polityków reakcji — oto dwa główne motory, sprzyjające powstawaniu sitw i konkurencji na rynku. Działaniu dwu tak potężnych czynników, wysoko ideowe środowisko może przeciwstawić nasilenie elementów ideowych, spotęgowanych przez odpowiedzialną krytykę literacką.

3.

Obraz środowiska literackiego byłby jednak niezupełny, gdybyśmy nie poświęcili kilku słów krytyce, która powstała właśnie na gruncie tej obyczajowości, i która sprzyja rozwojowi jej rozkładowych elementów.

Krytyka literacka, szczególnie w Polsce, przeżywa obecnie głęboki kryzys, kryzys, który nie narodził się dzisiaj, którego przyczyny tkwią naszym zdaniem jeszcze w okresie Brzozowskiego. Krytyka literacka może być regulatorem wtedy, gdy oparta jest na pewnych obiektywnych, racjonalistycznych przesłankach, na pewnej naukowej metodzie. Wraz z przeszczepieniem irracjonalistycznych nurtów z Europy Zachodniej na teren Polski, i to w zwulgaryzowanej formie, wraz z wzmocnieniem tych prądów przez faszyzm — zniweczono potrzebę racjonalistycznych przesłanek, zaszczepiono pogardę dla naukowej metody badań, gilotynuje się ją krzykiem o żywiołowości, pogardą dla rzeczowych kryteriów. Wielbiciel Juliena Bendy, pisarz o niewątpliwie wielkiej kulturze, w rozmowie z piszącym te słowa, zwrócił niedawno uwagę na powiedzenie Bendy po przeczytaniu „l'Evolution Créatrice“ Bergsona. Benda powiedział wówczas: „Jest to nader niebezpieczna książka, która otwiera wrota chamstwu i nieuctwu“. Tak się też stało: irracjonalizm, skonstruowany w koncepcjach Żyda Bergsona stał się, jak na to zwrócił uwagę Huxley, podstawą dla późniejszych prądów irracjonalnych w faszyźmie.

Irracjonalizm ulegalizował, teoretycznie uzasadnił subiektywną dowolność w ocenie, essayizm najwulgarniejszego gatunku. A przecież tego tylko trzeba było, aby krytyka literacka, idąc drogą najmniejszego oporu, wkroczyła w wir sitw, dintojr, mafii, konformizmu. Bez steru racjonalistycznego, bez wioseł naukowego rozumowania, bez busoli metody — jakże łatwo rozwinąć żagle na kapryśny wiatr naszych czasów, goniąc z prądem i z wiatrem!

Irracjonalizm w zamaskowanej formie odrębnych praw sztuki, rzekomo oderwanej od wszelkiego życia społecznego, od historii, absolutyzm i metafizyka rzekomo racjonalistyczna, stały się drogą wzmocnienia się prądów pseudonaukowych, a właściwie dowolnie komen-

---

...„Jesteśmy przeciwnikami zaborów i panowania narodów nad narodami, dlatego też, gdy zaborca nam zagraża, jesteśmy gotowi do nieubłaganej walki z najezdnikiem; żywioł chłopski stanie do tej wojny z gotowością do najwyższych ofiar z krwi i mienia;

wierzymy jednak, że i w narodzie niemieckim jest również dążność do sprawiedliwości powszechnej, szczególnie w masach chłopskich i robotniczych, które nie mogą się wypowiedzieć na skutek dyktatorskiego ustroju tłumiącego wszelkie przejawy sił społecznych“.

Z uchwał Zarządu Głównego „Wici“ z dn. 29 i 30 kwietnia.

tujących każdorazową przemianę. Dlatego też współczesna, bezideowa krytyka literacka współdziałała w potęgowaniu się wyżej opisanych zjawisk literackich, stwarzając pole dla niesłychanej dowolności.

Irracjonalizm umożliwił zresztą przedostanie się do środowiska literackiego **personalizmu**, tzn. podejścia do dzieła przez pryzmat tego, nie **co** zostało stworzone, ale **kto** napisał książkę. Nie tylko krytyk liczy się więc z tym **kto** napisał, ale nawet autor przyzwyczaja się do postulatu, aby krytyk pisząc recenzję, liczył się ze świadczeniami autora na polu, nic albo mało mającym wspólnego z samą twórczością. Krytyk musi walczyć o prawo do krytyki, przeciwko naciskowi sitw, klik, mafii, protekcji; to też w środowisku literackim, aby napisać uczciwą krytykę, trzeba często przełamać opór swego środowiska towarzyskiego, bojaźń przed wydawcą (a nuż nie da więcej pracy?), bojaźń przed redaktorem pisma, który przecież także ma swoje środowisko towarzyskie, wobec którego obowiązuje go pewien serwitut.

Nic dziwnego, iż nieliczna coprawda, ale istniejąca jednak grupa pisarzy, idących wbrew prądowi, nie rozumiejąc tej krytyki i słusznie ją lekceważąc, pozwala sobie na taką samą dowolną krytykę krytyków, pozbawioną obiektywnych kryteriów.

Kończąc te uwagi, należy raz jeszcze zaznaczyć, że przecież chodziło tylko o zbadanie **pewnego** środowiska oraz przyczyn wywołujących taką obyczajowość. Nie sądzimy, aby zmiana mogła nastąpić drogą łatwą, bez gruntownej zmiany tzw. publiczności czytającej, odbiorcy. Jeśli w ramach współczesnej rzeczywistości mogą nastąpić pewne zmiany, może się to odbyć tylko przy pomocy ideowej, racjonalistycznej, i zdaniem naszym — socjologicznej — krytyki literackiej, która zdolna jest podnieść środowisko literackie na wyższy poziom ideowy.

JERZY BOREISZA.

Wołam o Witkiewicza

„Słowa te, to nasz największy, najpotężniejszy skarb narodowy i człowiek, który je wypowiedział, powinien był czczony narówni z największymi geniuszami, jacy Polsce przyświecają".

Przed kilku tygodniami wystąpiłem z okazji ukazania się dokonanego przez Kazimierza Kosińskiego „Wyboru Pism" Stanisława Witkiewicza (Gebethner i Wolff — Biblioteczka Uniwersytetów Ludowych — t. 268 i 269 — 1939 r.) z wezwaniem na łamach „Dziennika Ludowego" do wydania zbiorowej edycji pism autora „Na przełęczy".

Cytując kilka wypowiedzi świetnego artysty i głębokiego myśliciela, starałem się w miarę moich skromnych umiejętności wskazać na wciąż żywą aktualność zawartych w nich myśli, podkreślić ich szczególnie doniosłą dzisiaj wartość jako drogowskazów dla dalszego dziejowego pochodu Polaków. Pisałem: „Dzisiaj, kiedy odrodzone Państwo nasze stoi przed koniecznością wykreślenia dla swego rozwoju linii kierunkowej, kiedy w jego ramach ścierają się w ostrej nieraz walce idee i poglądy, kiedy przed narodem leży do rozsupłania twardo zawiązany węzeł „Polska — ale jaka"? — jest szczególnie właściwy moment po temu, aby ku naszej najlepszej przeszłości zwrócić się po odpowiedź na wiele dręczących nas pytań". Przy pisaniu tych słów myślałem o konieczności przypomnienia Stanisława Witkiewicza — uspołecznionego pisarza, pisarza Polski walczącej. We wniosku pozwoliłem sobie deklarować, że „obowiązkiem naszym, nas — demokratów, jest wołanie o jak najrychlejszą realizację zbiorowego wydania dzieł Wielkiego Demokraty i niepospolitego artysty".

I oto co mnie — muszę to wyznać — przykro uderzyło:wezwanie moje przebrzmiało bez najmniejszego echa, nie odezwał się nikt, ktoby choć w paru słowach przytaknął słusznemu — zdawałoby się — żądaniu, nikt, ktoby poparł moje wystąpienie. Powiedzą, że chwila może jest nie po temu, aby myśleć o restytuowaniu dla współczesności polskiej zapomnianych przez społeczeństwo jego myślicieli i artystów — o ich reaktywowaniu, że w czasie, który można już określić — z niewielką dowolnością — terminem „inter arma", nie pora na tego typu prace kulturalne. Powiedzą, że osobliwa chwila, w której żyjemy, stawia przed narodem specjalne zadania, zmuszając nas jeśli nie do całkowitej rezygnacji z prac niewiążących się z bezpośrednimi potrzebami chwili, to przynajmniej do spychania ich na dalszy plan, odkładania do sposobniejszego momentu. Wszystko to może i prawda, tylko... tylko, że w przypadku Witkiewicza nie ma sensu. I jeśli kto usiłowałby zbanalizowanym frazesem „nie czas żałować róż" rzecz tłumaczyć, ujawniłby tylko zupełną nieznajomość dzieła witkiewiczowskiej myśli, kompletne niezrozumienie dla wartości spadku, jaki ten wielki patriota i wspaniały Polak zostawił po sobie dla przyszłych pokoleń.

Pisał Witkiewicz w nieopublikowanym dotychczas „Przełomie" (cytuję według książki K. Kosińskiego „Stanisław Witkiewicz — człowiek i patriota" — Ignis, 1924):

„Nienawiść stała się obowiązującą zasadą życia, jedynie za realny uznanym czynnikiem w rozstrzyganiu spraw zbiorowego bytu. Nastąpiło straszne wytrzeźwienie ze wszelkiego idealizmu, to jest z wiary w możliwość **zapanowania dobra;** ludzkość zdawała się mówić: dosyć prób, jesteśmy i będziemy zawsze podli, okrutni, zawistni, przewrotni, kto silniejszy, ten lepszy".

Czytamy dzisiaj te słowa pisarza zmarłego niemal przed ćwierćwieczem i zapytujemy siebie, o jakich to czasach mowa? Czyżby nie o tych, którym inny, znacznie późniejszy autor dał prawie już powszechnie przyjęte miano „czasów pogardy"?

A oto gdzieindziej (z listu do siostry z dn. 28 kwietnia 1915 r.):

„... wobec życia cele, dla których dana wojna się prowadzi, nadają jej różną wartość moralną i różne spłowadzają skutki dla ludzkości. Chęć zdobyczy, zabór, zawiść, mściwa chęć poniżenia innego narodu, morderczy instynkt, który w poczuciu swej siły rzuca się na przypuszczalnie słabszy naród, to są te podłe pobudki wojny"...

Tam jednak, gdzie szło o wolność, o niepodległość, o walkę „w imię sprawiedliwości", bez wahania postawił Witkiewicz kategoryczne żądanie:

„Zmilitaryzować Polskę, zorganizować, stworzyć polską armię, gotową w każdej chwili do walki, dającą się zmobilizować, jak każda inna"...

I wreszcie („Wallenrodyzm czy znikczemnienie"):

„Strach, podłość i głupota są najstraszniejszymi wrogami naszego bytu. Ten kto się boi ogromu rosyjskiego państwa, kto się boi potęgi Niemiec, kto porównywa ilość Polaków z milionami Rosjan lub Niemców i myśli ze strachem o ich sile i zwątpieniem o nas, ten już ma naruszoną całość sumienia polskiego".

Sądzę, że tych kilka „pierwszych z brzegu" cytat wystarczy dla wskazania, ile żywej krwi tętni w pismach autora „Na przełęczy". Oczywiście, cytat tego rodzaju można by tu przytaczać niezmiernie wiele. Nie o to jednak idzie, że Witkiewicz dla dnia dzisiejszego właśnie stanowi źródło haseł, że z myśli w jego pismach zawartych uczynić łatwo kalendarz „sloganów". Znaczenie jego jest i głębsze i bardziej dalekosiężne.

Był więc Witkiewicz — jeśli o dziś, jak i o jutro idzie — jednym z najwspanialszych w dziejach naszych nauczycielem heroizmu:

„Ludzi — pisał — trzeba koniecznie uczyć myślenia o wielkich rzeczach i zdarzeniach w sposób wielki, opierający się na wielkich okresach czasu i biorących w rachubę całe lądy i milionowe rzesze ludzkie i jeszcze jednej rzeczy trzeba uczyć — bohaterstwa".

Z tego jednego już zdania widać jednak także, że nie chodziło Witkiewiczowi tylko o heroizm na wąski użytek, że ten patriota, dla którego imię Polski stanowiło jedną z nietykalnych świętości, pragnął, aby ów heroizm sięgnął swoim ramieniem szerzej, aby objął coś więcej nawet niż jeden naród. I dlatego obok słowa Polska pada u niego równie często, równie mu drogie i cenne słowo: ludzkość. Do głębi przepojony chrześcijańską etyką miłości — tym uczuciem obdarza nie tylko własny naród:

„Trzeba zawsze stawać na najradykalniejszym stanowisku, to jest na stanowisku absolutnej sprawiedliwości społecznej, która jest wcieleniem jedynej wartej czci siły łączącej ludzkość — miłości".

I oto stajemy wobec nowych kwestyj. Miłość. Miłość ale i bohaterstwo — a więc i walka. I o co ta walka? U Witkiewicza „cele tej walki, wspólne ze wszystkimi innymi narodami walczącymi o niepodległość, wiązały się z ideałami społecznymi, z żądzą uczynienia sprawiedliwości społecznej"...

Więc czym ma być Polska? „Polskę stanowi duch i czyn polski, polska dusza, bez której naród nie ma spójni, nie jest narodem, a ojczyzna nie ma granic i staje się zajezdnym domem spekulantów, mówiących po polsku".

A jakiż to ma być czyn polski, na jakich podstawach z tego ducha polskiego wywiedzionych ma stanąć nowa Polska, która być musi?

„Z dzisiejszych ustrojów społecznych — powiada Witkiewicz — nie może zostać nic. Są to podłe, smrodliwe, pełne ciemnych nor, w których lęgnie się zbrodnia, budy — te tak zwane gmachy społeczne. Z tym trzeba walczyć z całą bezwzględnością, a wobec wszystkich ludzi stać na stanowisku najwyższej miłości. Oto wytyczne słupy drogi, po której idąc, człowiek nie spodleje i nie ogłupieje".

Odpowiedź jest chyba jasna i prosta.

Pozwoliłem sobie niejako błyskawicznie przesunąć reflektorem po strzelistym gmachu poglądów Witkiewicza — zbyt błyskawicznie na to, aby ogarnąć choć drobny ich ułamek, nie wspominając już o możliwości pełnego ocenienia niezmiernego bogactwa myśli w nich zawartych. Nie o to mi szło, nie posiadam zresztą niezbędnych kwalifikacyj na odsłonięcie przed oczyma czytelnika całego Witkiewicza — artysty, pisarza społecznego, politycznego, moralisty... Witkiewicza trzeba poznawać przede wszystkim z jego własnych pism. Trzeba te pisma czytać, trzeba je przemyśleć, trzeba, aby treść ich, stając się własnością czytających, stała się z czasem częścią treści ducha narodu.

Odsłaniając zaledwie maleńki rąbek treści przemyśleń wielkiego pisarza, żywię nadzieję, że zdołam w ten sposób tak zaciekawić czytelnika, takie w nim wzbudzić pragnienie poznania wszystkiego, co w nieocenionej puściźnie po tym pisarzu nam zostało, iż udostępnienie całego tego spadku społeczeństwu okaże się bezwzględnie koniecznością.

Pisałem niedawno w „Dzienniku Ludowym" po wydaniu przez księgarnię Gebethnera i Wolffa „Wyboru Pism" Witkiewicza: „Dwa czy nawet trzy tomiki „Biblioteczki Uniwersytetów Ludowych" nie mogą zatuszować faktu, że w niemal ćwierć wieku po zgonie jednego z najwspanialszych naszych artystów i najgłębszych myślicieli nie posiadamy pełnego wydania jego pism, że niektóre z nich jak „Życie, etyka i rewolucja" (dwie redakcje) zalegają w rękopisach, że wreszcie dotychczas wydane wskutek wyczerpania nakładów są niemal niedostępne dla przeciętnego czytelnika".

Obecnie powtarzam: **zbiorowe, pełne wydanie dzieł Witkiewicza musi się ukazać w druku — i to jak najrychlej.** Nie chcemy wchodzić w to, kto zawinił, że dzieło myśli Witkiewicza, stanowiące własność całego narodu, bo dla niego było przeznaczone, nie zostało dotychczas w całości ujawnione. Wiemy natomiast na kim dzisiaj ciąży obowiązek udostępnienia go nam, od kogo mamy żądać dokonania tej płodnej w skutki pracy — i czekamy.

Wreszcie, kiedy już mowa o potrzebie udostępnienia społeczeństwu polskiemu pism Witkiewicza, kiedy mowa o konieczności spopularyzowania jego idej, nie sposób nie podkreślić zasług w tej dziedzinie, położonych przez prof. Kazimierza Kosińskiego, autora — jedynej zresztą — monografii twórcy „Na przełęczy" („Stanisław Witkiewicz" — Warszawa — 1927 r.).

Czynię to tutaj, ponieważ w podobnym przypadku tak samo postąpiłby napewno Witkiewicz.

STANISŁAW RYSZARD DOBROWOLSKI.

Apel demokratów lwowskich

Politechnika Lwowska była znowu miejscem tragicznego wydarzenia. Z rąk zanarchizowanej grupy młodzieży padł młody student Wydziału Chemii — Markus Landesberg. Jest to już drugi wypadek zabójstwa na Lwowskiej Politechnice, a trzeci na terenie Wyższych Lwowskich Uczelni.

Społeczeństwo polskie nie może wobec wypadków rozgrywających się na terenie szkół akademickich, wypadków wstrząsających sumieniem każdego uczciwego człowieka, przejść obojętnie. Musi się podnieść

głos powszechnego oburzenia przeciw dezorganizowaniu pracy naukowej na naszych uczelniach, musi być położony kres zbrodniczym czynom, które są obce kulturze polskiej i godzą w honor Polaków oraz we wzniosłą ideę miłości bliźniego, tak mocno wrośniętą w duszę Polskiego Narodu.

Całe społeczeństwo polskie musi jak najostrzej potępić nie tylko bezpośrednich sprawców zbrodniczych czynów, ale przede wszystkim tych, którzy przez wytwarzanie odpowiedniej atmosfery, a następnie pobłażliwe traktowanie tragicznych w skutkach wystąpień pewnej części młodzieży polskiej, są duchowymi inicjatorami i pomocnikami tych, którzy plamią dobre imię Polaka.

Od dłuższego już czasu przesącza się do pewnych środowisk naszej młodzieży straszliwy jad hitlerowskiego światopoglądu, który jest zaprzeczeniem wszystkich wartości kultury ogólno - ludzkiej — w życiu publicznym stosowane są metody wzięte bezpośrednio od szturmowych oddziałów neopogaństwa germańskiego.

I dzieje się to w czasie, kiedy po ziemie Rzeczypospolitej sięga zbrodnicza łapa hitlerowskiego żołdaka, kiedy społeczeństwo całe w godności i spokoju zwiera się w sobie, by oddać życie za całość i Niepodległość Państwa naszego, gdy może już jutro zajdzie tego potrzeba.

Społeczeństwo nasze musi się odgrodzić jak najmocniej od występnych czynów pewnego odłamu naszej młodzieży, musi naśladowcom światopoglądu i metod hitlerowskich powiedzieć jak najbardziej stanowczo, że nie ma dla nich miejsca w życiu polskim. Ta młodzież, dla której każda metoda walki jest dobra, która występkami swymi przynosi wstyd godności Polaka, musi nareszcie usłyszeć twarde i nieustępliwe słowa powszechnego potępienia, — tak samo, jak i ci wszyscy, na których spada moralna odpowiedzialność za wystąpienia tej młodzieży.

Zwracamy się do całego ogółu polskiego, do Duchowieństwa, do stowarzyszeń, Stronnictw Politycznych, do Młodzieży Polskiej, do poszczególnych osób, których głos ma wagę w społeczeństwie, by przyłączono się do naszego wezwania, by dano wyraz publiczny, że czas już najwyższy położyć kres zbrodniczym występkom pewnych grup młodzieży, które anarchizują życie na wyższych Uczelniach, że światopogląd, formy organizacyjne i metody działania, zapożyczone od hitlerowskich i faszystowskich organizacyj, są obce duchowi polskiemu i nigdy aprobaty społeczeństwa polskiego nie dostaną, że zbrodnie popełniane w świątyniach naszej wiedzy podrywają autorytet moralny Państwa i poniżają godność społeczeństwa polskiego.

Prasę polską prosimy o powtórzenie naszego wezwania.

Za
Oddział Stronnictwa Demokratycznego we Lwowie

Sekretarz:
Zdzisław Nesterski.

Prezes:
Dr Olszewski Stanisław.

N A S T Ę P N Y N U M E R

„E P O K I"

p r z y n i e s i e
między innymi:

Doc. G. Bychowskiego
artykuł o Célinie.

St. Biernata
sprawozdanie z Kongresu Pedagogicznego.

Wacława Nałkowskiego
fragmenty krytyki „Legendy Młodej Polski".

O pomnik dla Norwida

Na łamach „Sygnałów" — demokratycznego dwutygodnika, poświęconego zagadnieniom kultury — wystąpił St. R. Dobrowolski z inicjatywą wzniesienia w Warszawie pomnika Norwidowi. „Twórcy Promethidiona — pisze — przynajmniej w rekompensacie za krzywdę tyloletniej obojętności dłań narodu należy się pomnik. „Kto kocha widzieć chce choć cień postaci..." Niechaj zatem i zewnętrznie się wyrazi nigdy niespóźniona miłość narodu dla jednego z najwspanialszych piewców jego cierpienia i radości, triumfów i upadku".

Dobrowolski wskazuje na możliwości realizacji swego projektu, informując o istnieniu pięknego popiersia Norwida, dłuta młodego rzeźbiarza Kazimierza Pietkiewicza.

Zasługujący na poparcie projekt winien spotkać się z życzliwym przyjęciem w sferze zainteresowanych czynników, przede wszystkim zaś ze strony Zarządu Miejskiego Stolicy, tej Stolicy, której bohaterstwu złożył Norwid w hołdzie swoje najpiękniejsze strofy.

Od Wydawnictwa

**Abonentów,
którzy
zalegają
z opłatą prenumeraty za kwartał ubiegły i bieżący
p r o s i m y
o uregulowanie
należności.**

REDAKCJA I ADMINISTRACJA. WARSZAWA, UL. O R D Y N A C K A 5 — TEL. 213-90 — KONTO P. K. O. 26 630

R E D A K T O R przyjmuje w środy i w piątki od godziny 17-ej do 18-ej. R Ę K O P I S Ó W nie zwraca się.
P R E N U M E R A T A kwartalnie — zł 3.60. Numer pojedyńczy 40 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm, lub jego miejsce zł. 1.—. w tekście. Za tekstem gr 60

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC 527 Zakłady Drukarskie W. Piekarniaka, W-wa. Dobra 58, tel. centr. 644-59 i 592-40.